W numerze: ● Ostatnie dni ● Polacy w Bergerac ● Francuska poezja miłosna ● Z notatnika bibliotekarza ● Koniec podróży ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

odgłosu

Nr 19 (395)
16. V. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

Dni Oświaty, Książki i Prasy

IVDICIVM PARIDIS
CRACCOVIAE APVD FLORIANVM.

WŁADYSŁAW ANDRZEJ KEMPA

ze wspomnień ŚMIECIARZA

Żył sobie przed laty wielki kalif Omar, który po spustoszeniu ogniem i mieczem Egiptu, rozkazał spalić najświetniejszą bibliotekę starożytnego świata — Serapeion w Aleksandrii (641 r. ne.), powiadając: „Jeśli księgi zawierają to samo co Koran — są niepotrzebne, jeśli zaś kryją inne treści — są szkodliwe". Po wspaniałych zwycięstwach wielkiego kalifa zostało tylko historyczne wspomnienie, słowa jego zaś wspomina się często dla podkreślenia barbarzyństwa ludzi niszczących księgi.

Na stosach inkwizycyjnych w Polsce spłonęło znacznie więcej książek aniżeli ludzi; ogień był najlepszym pomocnikiem obskurantów i wstecznków wszelkiego autoramentu. Ginęły więc nasze dobra kulturalne w pożarach wojen szwedzkich, kozackich, rosyjskich i pruskich, by dopełnić miary zniszczenia w latach ostatniej wojny.

Ale i dzisiaj kłania się niektórym cień kalifa Omara. Wystarczy co jakiś czas odwiedzać najbliższy punkt skupu makulatury, aby się o tym dowodnie przekonać. Autor tych wspomnień nie jeden raz miał możność stwierdzić jak nowocześni Omarowie z lekkim sercem **skazują na zagładę bezcenne często skarby naszej przeszłości i teraźniejszości kulturalnej.** Młodociany Omar wyrzuca przeczytany zbiór bajek albo wykorzystany podręcznik szkolny i to mu można wybaczyć, uznając dziecięcą nieświadomość. Ale jakże często nowoczesny Omar posiada uniwersyteckie wykształcenie, ba, jest nawet profesorem wyższej uczelni, znanym literatem, uczonym wielkiej sławy. Widziałem na własne oczy dzieła naukowe i literackie o trudnej do ustalenia wartości kulturalnej (nie mieszać tego pojęcia z wartością pieniężną), pochodzące ze zbiorów powszechnie znanych ludzi. Notatki prowenienc yjne i podpisy świadczą o tym dobitnie.

Cień kalifa Omara unosi się nad niektórymi naszymi bibliotekami, z których często zwierzchnik-barbarzyńca lub uprawomocniony bibliotekarz usuwa na przemiał starsze dzieła, nie znajdujące już chętnych czytelników. Kubuś Puchatek nazwałby to „bardzo małym rozumkiem", my — jaskrawym przykładem barbarzyństwa kulturalnego.

Pewien dostojnik kościelny na zapytanie, dlaczego ze zbiorów biblioteczno - rękopiśmiennych, powierzonych jego opiece, lwia część nader ważnych dokumentów naszej kulturalnej przeszłości trafiła do detalicznego punktu skupu makulatury, odpowiedział bezradnie, **że to zwykle niedopatrzenie...** O, bo Polska jest krajem bogatym w zabytki słowa pisanego i drukowanego, bo może sobie pozwolić na bezmyślne trwonienie dóbr kulturalnych zawartych w księgach, rękopisach i rycinach, bo może je przeznaczać na wtórny przerób na papier do pakowania, tekturę, w najlepszym razie na gazety i zeszyty szkolne... Bardzo ważne dla poznania tradycji kulturalnej naszego regionu papiery trafiły do punktu skupu makulatury. Ile podobnych skarbów przetrawiły tryby młynów papierniczych, o tym nikt się już chyba nie dowie.

Kiedyś, jeszcze na studiach, przechodziłem jedną z pryncypalnych ulic naszego miasta. Nagle na wielkiej platformie zaprzężonej w dwa rosłe konie zobaczyłem małą książeczkę, która zwróciła moją uwagę swą wyszukaną, stylową oprawą, wykonaną przez introligatora-artystę pierwszej połowy XIX wieku. Targ w targ, nabyłem za psi grosz książeczkę stanowiącą do dziś ozdobę mego księgozbioru. Po rozmowie

Dalszy ciąg na str. 3

JAN BĄBIŃSKI

Antybałuty

Z okna miałem dobre wejrzenie na podłużne domy, szkołę i plac. Nowe to wszystko. Budynek z którego wyglądałem też był nowy i różowy. Gdy na Marynarskiej pytałem o Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej, przechodzień wejrzał zaskoczony. A potem mruknął: — Urząd, czy tak? — Tak jest, urząd — przytaknąłem. — Urząd jest w tamtym różowym budynku za placem.

Ruszyłem więc przed siebie.

Po prawej stronie Marynarskiej miałem koszarowe bloki o bramach kopulastych, potężnych jak w pałacach Samarkandy. Mury tych bloków nie otynkowane, koloru brudnej zwietrzałej cegły, robiły przygnębiające wrażenie. Plac za koszarami to zupełnie inny świat. To jakby włoska piązza, raczej piazzetta. Gdyby tu jeszcze postawić fontannę, pomnik jakiegoś gieroja, lub wodotrysk z nimfami, złudzenie byłoby całkowite. To już był kawał prawdziwej architektury. Budynki żywe, strzeliste, trzymające się ziemi jak dobrze wyważona limuzyna.

Do sekretariatu wkroczył elegancki, szpakowaty mężczyzna o wyglądzie reżysera filmowego.

— Szef prosi — oznajmiła blond - sekretarka.

Przewodniczący Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej, to jest szef, był diablo zajęty. W gabinecie przy niskim jak w kawiarence stoliku siedziało już kilku interesantów. Wszyscy bardzo się śpieszyli. Młynek, bo młynek, jak to w radzie przed wyborami. Zła to była pora na pogaduszki. Zapytałem więc szefa wprost bez żadnych wstępów i korowodów, jaki problem uważa w obecnej sytuacji za podstawowy.

— Mieszkania — odparł bez chwili namysłu.

Czy miałem prawo spodziewać się innej odpowiedzi? Czy kwestie mieszkaniowe nie pozostają od lat najczulszą, najdrażliwszą, także najtrudniejszą stroną działalności rad? Powiedziane już przecież — warunki mieszkaniowe degradują, lub podnoszą człowieka.

— Pewno, że tak. Ostatecznie większą część życia każdy z nas spędza w czterech ścianach. Wcale nie jest obojętne, jakie to będą ściany, jaki dach nad nimi, z czego podłoga. Czy pokoje w amfiladzie, lub z osobnym wejściem. Czy kran w korytarzu wspólny, czy ustęp dopiero na podwórzu. Wszystko jest ważne.

A już najgorsze jeśli kuchnią, sypialnią i gościnnym pokojem jest suterena.

Niektóre z nowych bloków znam dość dobrze.

Mieszkania w nich standardowe, albo inaczej znormalizowane. Wnęki, ścianki, rozsuwane meble. W dużym pokoju dywan przed telewizorem. Także dwa fotele. Dywan tak położony, by po nim broń Boże nie deptać. Nielzja. Klatki schodowe wąskie, ciasne. Na wszystkich drzwiach mosiężne tabliczki. Na każdej tabliczce obok nazwiska tytuł naukowy, lub służbowa funkcja. Tu magister, tam magister, gdzie spojrzeć magister. Dziwny jakiś obyczaj. Przejaw tytulomanii na tym najniższym, korytarzowym szczeblu. Mieszkam w starej kamienicy w śródmieściu. Nikt tam nawet nazwisk nie wywiesza na drzwiach. Jest alfabetyczny spis lokatorów w bramie. I są numery mieszkań. I na tym koniec.

Dlaczego w nowych blokach wykształca się inna tradycja? Trochę taka jak w Krakowie za czasów Franza Josepha.

Czytajcie i zdejmujcie czapki.

Nie zauważyłem, by ktokolwiek zdejmował. Nie te czasy arlekinie...

A szef zawalony po uszy bieżącą robotą przekazał mnie w inne ręce. Usiadłem więc nad plikiem wykazów, sprawozdań i kilkudziesięciostronicowych protokółów. Ruch i tutaj był duży. Przygotowywano materiały na posiedzenie Prezydium, istny kołowrotek ktoś przychodził. Najchętniej ruszyłbym od razu na Młynarską, ale nie mogłem. Reportaż musi być uzbrojony w cyfry, bez tego ani rusz.

Obywatele radni, co z waszym programem wyborczym sprzed czterech lat?

Wpadło mi na myśl, że wpierw powinienem skoczyć do komisji planowania. Oni tam wiedzą lepiej. Kierowniczka komisji prosiła bym zanotował, że:

— Bałuty liczą 183 tysiące mieszkańców.

— zajmują jedną trzecią obszaru całej Łodzi,

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

9 maja, jak Polska długa i szeroka, o godz. 11 rozległ się doniosły dźwięk syren fabrycznych. Było w tym przenikliwym dźwięku coś, co skłania do refleksji: były tam echa 2.194 dni II wojny światowej i surmy zwycięstwa. Ta jedna minuta, w której zamarł ruch uliczny, skłaniała do zadumy nad minionym dwudziestoleciem i czasem przyszłym. Wybaczcie więc, Czytelnicy, że uległ jej i Wasz komentator, tak właśnie rozpoczynając stały felieton: „W świecie".

Jakże jednak inaczej przejść do dnia dzisiejszego, skoro łączy się on integralnie z tamtym zwycięskim 9 maja?

Spójrzmy uważnie na mapę świata. Ile w ciągu tego dwudziestolecia dokonało się na niej zmian! Ile przybyło krajów samodzielnych, w ilu rozwijają się ruchy narodowo-wyzwoleńcze! Przez szpalty gazet przewijają się ostatnio Wietnam i Dominikana. Czy dwadzieścia lat temu partyzanci południowowietnamscy mogliby tak skutecznie stawić czoła amerykańskiej nowoczesnej technice militarnej? Czy małą Dominikanę stać by było na zamanifestowanie swej woli? Czy było do pomyślenia, by decyzja o powołaniu międzyamerykańskich sił policyjnych, wymierzonych przeciwko Dominikanie, a uporczywie lansowana przez Stany Zjednoczone, uzyskała w Organizacji Państw Amerykańskich zaledwie wymagane quorum — 14 głosów?

Są to z całą pewnością wyznaczniki n o w e g o, które przyniosły dwadzieścia lat po zakończeniu II wojny światowej.

Są jednak na świecie w dalszym ciągu siły, którym pokój spędza sen z powiek, a ewolucja świata w tym kierunku „zmusza" do przeciwdziałania. Ich to dziełem jest uchwalenie w ostatnich dniach przez Izbę Reprezentantów USA dodatkowych 700 mln dolarów na wojnę w Wietnamie oraz określenie podstaw tzw. „doktryny Johnsona".

Wprawdzie nie została ona jeszcze oficjalnie proklamowana, ani nawet tak nazwana, faktem jest przecież, że wielokrotnie została już sformułowana przez przedstawicieli administracji amerykańskiej. Jej istota? Uzurpowanie sobie przez Stany Zjednoczone prawa do zbrojnego interweniowania wszędzie tam, gdzie — ich zdaniem — siły postępu zagrażają interesom północnoamerykańskiego kapitału.

Ale przecież i tu dopatrzyć się można z łatwością cech n o w e g o. Jeśli USA rzeczywiście ogłoszą ją jako zasadę swej polityki — to będą realizowały w osamotnieniu, przy opozycji czynnej czy biernej wielu swych sojuszników i zaledwie „grzecznościowym" poparciu innych. Jest to chyba wielce symptomatyczne właśnie dla dnia dzisiejszego.

Niepowodzenia Stanów Zjednoczonych w Wietnamie skłoniły je do forsowania „polityki wielu flag", czyli — inaczej mówiąc — w pewnym sensie umiędzynarodowienia konfliktu. Jak dotychczas na domaganie się USA skierowania tam kontyngentów wojsk wych sojuszniczych krajów, pozytywnie odpowiedziała tylko Australia.

Również przebieg londyńskiej sesji rady ministerialnej SEATO, wbrew oficjalnemu komunikatowi, nie może zadowolić Waszyngtonu. Dwa bowiem z ośmiu członkowskich krajów — Francja i Pakistan — nastawione są na neutralistyczną politykę w Wietnamie, inne w toku dyskusji na wspomnianej sesji, dały wyraz występującej wśród partnerów różnicy poglądów.

Londyński korespondent DPA pisze na ten temat:

„Jedynie z trudem udało się utrzymać całość SEATO. Osłabiona przez separatystyczne stanowisko Francji organizacja stanęła w obliczu dalszego rozłamu..."

I konkludując:

„Pewne jest tylko jedno: nie jest to już organizacja przemawiająca jednym głosem. Jej przyszłość stała się niepewna".

Problem wietnamski, a raczej występujące na tym tle rozbieżności, nastrajają dość pesymistycznie komentatorów zachodnich także co do przebiegu zwołanej na dzień 11 maja sesji rady NATO na szczeblu ministrów.

Tym bardziej, że nie mniej kłopotów niż z zagadnieniem wietnamskim może być i z problemem niemieckim, gdzie Francja reprezentuje odmienną opinię, i ze strukturą NATO, która — zdaniem de Gaulle'a — powinna być zreformowana.

W kołach polityków i publicystów Zachodu panuje więc sceptycyzm co do wyników rozmów 16 ministrów w Londynie.

Nad obradami sesji — podkreślają komentatorzy — może ciążyć również „atmosfera wiosennych powiewów między Paryżem a Moskwą". Uporczywe powracanie do paryskiej wizyty min. Gromyki przez prasę amerykańską i angielską jest chyba najlepszym dowodem, jak bardzo Waszyngton i Londyn niepokoją się rozmowami francusko-radzieckimi.

*

Rozpocząłem dzisiejszy komentarz od przypomnienia niektórych faktów, świadczących o nowym układzie sił w świecie. Jest ich zbyt wiele, by wszystkie wymieniać w skromnych ramach komentarza. Chciałbym jednak podkreślić, że dziś żadna akcja nie uchodzi agresywnym kołom Zachodu bezkarnie. Reaguje na nie zdecydowanie opinia publiczna. Jej rolę we współczesnym świecie trafnie określił francuski „Figaro".

„Opinia publiczna — czytamy tam — nie posiada ani dywizji ani armat, niemniej istnieje i trzeba się z nią liczyć".

Zgodzicie się ze mną, że jest to również ważny miernik zmian, jakie dokonały się w powojennym świecie.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA, 2 MAJA

■ Strategdzy ze sztabu amerykańskiej marynarki wojennej domagają się od sekretarza obrony McNamary zastosowania morskiej blokady wybrzeży Wietnamskiej Republiki Demokratycznej.

■ Gospodarka rumuńska wykazuje nadal niezwykle wysokie tempo rozwoju. Jak wynika z danych statystycznych w pierwszym kwartale br. przemysł wyprodukował o 14,2 proc. wszelkiego rodzaju towarów więcej aniżeli w analogicznym okresie roku ubiegłego. Najwyższe tempo wzrostu przypada na energetykę — 35 proc., produkcja przemysłu chemicznego wzrosła o 24 proc., materiałów budowlanych o 17 proc., przemysłu maszynowego i metalowego o 14 proc.

■ Z początkiem br. na szosach Francji kursowało 10 milionów samochodów, w tym 8,3 miliona osobowych.

PONIEDZIAŁEK, 3 MAJA

■ Fidel Castro: Obecność oddziałów południowokoreańskich i australijskich w Wietnamie Południowym uprawnia obóz socjalistyczny do wysłania ochotników gotowych do walki w Wietnamie Południowym.

■ Prezydent Tunezji Habib Bourguiba zwrócił się do prezydenta de Gaulle'a o mediację w sporze arabsko-izraelskim. W kołach zbliżonych do pałacu elizejskiego utrzymuje się, że generał nie odrzucił propozycji, lecz zaproponował odłożenie sprawy do momentu, kiedy sytuacja w strefie Bliskiego Wschodu stanie się bardziej ustabilizowana.

■ W Pekinie ogłoszono komunikat o obradach Plenum KC Związku Młodzieży Komunistycznej Chin. Plenum podkreśliło, że „w całej pracy Związku należy zwracać największą uwagę na studiowanie dzieł Mao Tse-tunga. Stwierdzono następnie, że „wielki czerwony sztandar myśli Mao Tse-tunga winien się wznieść wyżej w pracy z dziećmi". Należy stworzyć dzieciom warunki — czytamy w komunikacie, aby od najmłodszych lat brały udział w walce rewolucyjnej.

■ W Chicago obradował zjazd konserwatystów, którego zadaniem było powołanie do życia nowej partii konserwatywnej o nastawieniu antykomunistycznym. Uczestnicy zjazdu przyjęli oklaskami propozycję wysunięcia kandydatury gubernatora stanu Alabama rasisty Wallace'a na stanowisko prezydenta USA.

System skazany na zagładę czyni instynktownie wszystko aby tę zagładę przyspieszyć.
JEAN PAUL SARTRE

WTOREK, 4 MAJA

■ Opinia światowa potępia brutalne interwencje USA w wewnętrzne sprawy Dominikany. Kanadyjski dziennik „The Gazette" pisze iż akcja prezydenta Johnsona świadczy o jego odejściu od polityki zagranicznej rządu Kennedy'ego i jest przejawem tendencji goldwaterowskich, które zostały zdecydowanie odrzucone przez Amerykanów w ubiegłorocznych wyborach listopadowych.

Nie ma róży bez kolców

■ W NRD podano szereg danych dotyczących składu osobowego Narodowej Armii Ludowej NRD. Przeciętny wiek oficerów Armii Ludowej wynosi 29 lat, 88 proc. oficerów jest pochodzenia robotniczo-chłopskiego. Przeszło 90 proc. oficerów ma ukończoną szkołę oficerską, z tego 80 proc. oficerów ukończyło Akademię Wojskową. Prawie każdy oficer jest członkiem lub kandydatem SED. Wśród podoficerów co drugi należy do partii, a wśród żołnierzy co dziewiąty.

■ Rzecznik Departamentu Stanu USA oświadczył, że Stany Zjednoczone nie organizują żadnych „oficjalnych" obchodów w związku z XX rocznicą zwycięstwa nad Niemcami hitlerowskimi. W Waszyngtonie mówi się, że decyzja ta podyktowana była chęcią „nieurażania Niemców".

Pesymista jest to optymista, który wszystko przemyślał.
DAN BENNETT
publicysta

ŚRODA, 5 MAJA

■ Miliony milicjantów i milicjantek w całych Chinach uczestniczą we wzmożonych ćwiczeniach wojskowych. W prowincji graniczącej z Wietnamem milicja znajduje się w stanie gotowości bojowej. Agencja Sinhua informuje, że podczas przerw w pracy milicjanci ćwiczą się w strzelaniu z broni ręcznej i maszynowej. Udając się do pracy biorą ze sobą karabiny. Ich hasło brzmi: „Jesteśmy gotowi do odparcia wroga, zarówno na lądzie jak też w powietrzu".

■ Ben Bella: „często mówię fellachom o islamie i tłumaczę zasady socjalizmu cytatami z Koranu".

■ Angielska Izba Gmin większością czterech głosów poparła rządowy projekt nacjonalizacji przemysłu stalowego. Organizatorzy parlamentarni Labour Party czynili wszystko, aby zapewnić obecność możliwie największej liczby posłów. Kilku deputowanych przyspieszyło swój powrót z zagranicy. W obradach uczestniczyli nawet posłowie chorzy.

CZWARTEK, 6 MAJA

■ Korespondenci prasy zachodniej donoszą na marginesie niedawnej, paryskiej wizyty ministra Gromyki, iż koła NRF są „głęboko rozczarowane" rozwojem stosunków francusko-niemieckich. Stwierdza się, że słowa ministra Gromyki wypowiedziane w czasie jego paryskiej konferencji prasowej na temat wschodnich granic Niemiec i niedopuszczenia do uzbrojenia atomowego NRF, przyjęte zostały w Bonn „z rozgoryczeniem".

■ Miesięcznik „Komunist" zamieszcza artykuł poświęcony obecnemu stanowi nauk filozoficznych w ZSRR. Autorzy artykułu podkreślają szereg osiągnięć jakie ostatnio odnotowują radzieckie nauki filozoficzne, po czym zwracają uwagę na pewne niedostatki i opóźnienia w pracach badawczych niektórych uczonych. „Wśród pewnej części filozofów zakorzenił się niestety pogląd, że materializm filozoficzny jest zbiorem niezmiennych i abstrakcyjnych „prawd", swego rodzaju „kodeksem" praw i zasad, które zostały raz na zawsze ustalone. Trudno nie dostrzec, że w konsekwencji w poważnym stopniu słabnie oddziaływanie myśli filozoficznej na praktykę społeczną i rozwój nauki, na świadomość naukowców i inteligencji twórczej, na kształtowanie naukowego światopoglądu szerokich mas pracujących, a w szczególności młodzieży".

Cenzura jest reklamą na koszt państwa.
FEDERICO FELLINI

PIĄTEK, 7 MAJA

■ Amerykański dziennik „Evening Star" pisze o odradzaniu się maccarthyzmu w USA. Znajduje to wyraz w tendencjach do tłumienia publicznej dyskusji na temat obecnej polityki amerykańskiej. Rusk i McNamara — pisze dziennik — osobiście kierują dążeniami do zdławienia publicznej dyskusji na temat ich polityki. Obaj wielokrotnie oświadczyli, że ci, którzy ich krytykują są rzekomo rozsądni i mniej oddani narodowi.

■ Południowowietnamskie radio „Wyzwolenie" ogłosiło list 140 intelektualistów z Wietnamu Południowego do 800 intelektualistów amerykańskich, którzy domagają się wstrzymania agresywnej wojny prowadzonej przez rząd USA w Wietnamie. W liście czytamy: „Mimo okropnych zbrodni popełnionych przez rząd USA przeciwko naszemu narodowi zawsze wierzymy w naród amerykański".

■ W Bonn podano do wiadomości, że Niemcy zachodnie zakupią we Francji broń i uzbrojenie na sumę około miliarda dolarów. Nowa umowa francusko-niemiecka daje Francji drugie po USA miejsce jako dostawcy broni i uzbrojenia dla NRF.

SOBOTA, 8 MAJA

■ Do redakcji dziennika „Komsomolskaja Prawda" wpłynęło szereg listów, których autorzy pod pretekstem walki z „mieszczańskimi gustami i stylem życia" domagają się ściślejszego wglądu opinii publicznej w życie prywatne obywateli. Sugestie autorów listów spotkały się z ostrą repliką dziennika. Autorzy listów — pisze dziennik reprezentują mentalność według której, ludzie zdolni są tylko do podłości, że nie stać ich na szlachetne myśli i czyste uczucia, że dlatego trzeba ich mieć stale na oku, stale szpiegować i że ta inwigilacja jest właściwą metodą wychowawczą człowieka przez człowieka".

■ Eksperci amerykańscy uważają, że obecne tempo rozwoju radzieckiej floty handlowej powoduje, iż Związek Radziecki zdobędzie nad Stanami Zjednoczonymi przewagę jako mocarstwo morskie w okresie krótszym od dwóch lat.

■ W 1962 roku około 27 proc. dochodu narodowego w ZSRR osiągnięto dzięki zainwestowaniu w oświatę.

POLONICA

„WROCŁAW" W PARYŻU

W związku z rocznicą XX-lecia powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Polski, Stowarzyszenie Obrony Granic na Odrze i Nysie zorganizowało wielki wieczór galowy w Salle Pleyel w Paryżu pt. „Piękna nasza Polska cała". W programie wieczoru udział wzięli: światowej sławy pianistka Regina Smendzianka, znany francuski zespół pieśniarzy „Les Guarnis", popularna śpiewaczka Colette Renard oraz 32-osobowy Dolnośląski Zespół Pieśni i Tańca Ludowego „Wrocław". Obszerny artykuł zatytułowany „Jak tańczy i śpiewa Wrocław" — został zilustrowany udanymi zdjęciami. Wiadomość o tym podał tygodnik „La Semaine Polonaise" z 28 marca br.

„INOSTRANNAJA LITIERATURA" O GUSTAWIE MORCINKU

Miesięcznik „Inostrannaja Litieratura" w swoim drugim numerze pisze o ostatnich utworach Gustawa Morcinka, wydanych przez Wyd. „Śląsk" w związku z pierwszą rocznicą śmierci pisarza. Autor artykułu szczególnie dużo miejsca poświęca książce „Zakon górniczy", która jest ostatnią z ogromnego cyklu poświęconego Ziemi Śląskiej, i pisze o niej w ten sposób: „Pisarz prowadzi swojego bohatera przez skomplikowane życiowe doświadczenia: przez powstanie śląskie w 20 latach, wojnę i okupację, oswobodzenie Śląska i odbudowę zniszczeń wojennych". Wierzymy, że w kraju, gdzie praca górników jest wysoko ceniona, książki naszego pisarza znajdą wdzięcznych czytelników.

„DYMEK Z PAPIEROSA" W USA

„Głos Ludowy" (People's Voice — Polish Weekly), wychodzący w języku polskim w Detroit w numerze z dnia 13 marca br. powiadamia swoich czytelników o tym, że kabaret „Dymek z papierosa" stworzony przed kilku laty we Wrocławiu przez Wojciecha Dzieduszyckiego, został zaproszony na kontynent amerykański. Po pobycie w USA zespół wyjedzie do Kanady. Ogółem odbędzie się 60 przedstawień dla Polaków mieszkających za Oceanem. Przy tej okazji warto wspomnieć, że w m-cu lutym ten popularny kabaret odwiedził Anglię występując trzykrotnie przed Polonią angielską i przed telewizją londyńską.

ANDRZEJ SZYPULSKI NA ŁAMACH „NIEDIELI"

W cotygodniowym dodatku do „Izwiestii" — „Niedieli" z dnia 14—20 marca br. zostało opublikowane jedno z opowiadań Andrzeja Szypulskiego pt. „Brzuch". Autor przekładu K. Starosielskaja we wstępie do opowiadania pisze o Szypulskim w ten sposób: „Pierwsze kroki Andrzeja Szypulskiego w literaturze datują się od roku 1957, kiedy to została mu przyznana Nagroda Młodych. W 1959 r. otrzymuje nagrodę za scenariusz, a w roku następnym nagrodę „Nowej Kultury" za opowiadanie o tematyce współczesnej. Szypulski współpracuje z radiem i filmem. Z zawodu jest dziennikarzem. W chwili obecnej ma 27 lat. Opowiadanie „Brzuch" jest wzięte z jego pierwszej książki „Miłość w grudniu". Od siebie chcemy dodać, że zainteresowanie naszą młodą literaturą w ZSRR w ostatnich latach wyraźnie wzrosło.

Anty-BAŁUTY

Dalszy ciąg ze str. 1

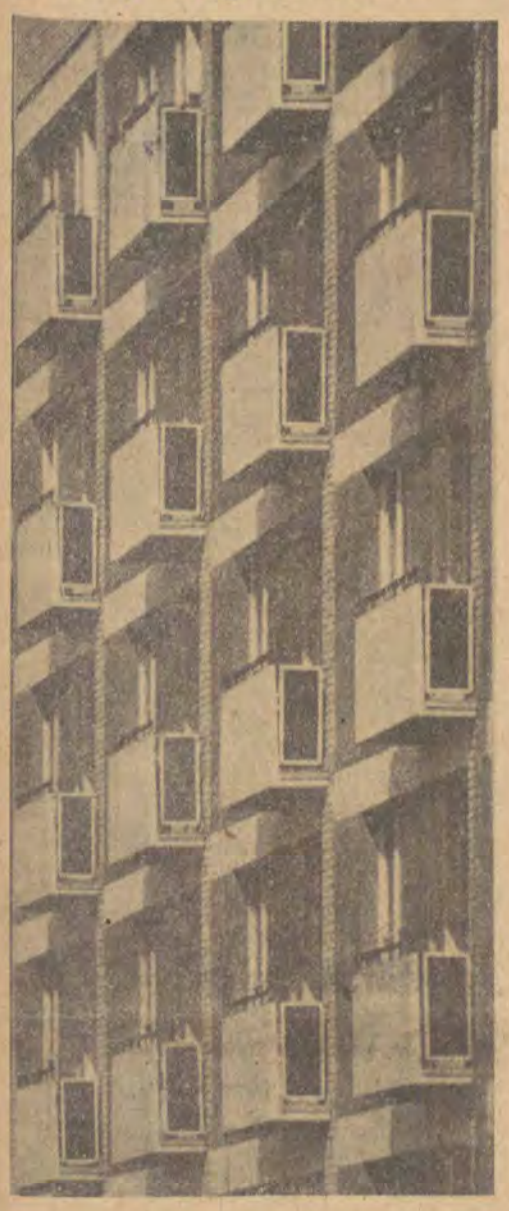

Fot. E. Uchymiak

posiadają 2273 hektary gruntów ornych,

— a także rozwinięty przemysł. Zbudowane niedawno zakłady transformatorów „Elta" już dziś zatrudniają 3 tysiące ludzi. Przybyły też zakłady wyrobów papierowych, fabryka silikatów, kilka innych, mniejszych wytwórni. Wkrótce ruszy budowa zakładów urządzeń tkackich, no i potężnej elektrociepłowni. To ma być gigant w skali krajowej... ładno, ładno, szef powiedział jednak, że mieszkania są najważniejsze.

Czy na Bałutach mieszka się jeszcze w suterenach i na strychach?

Maszynistka na chwilę przestała stukać palcami, spojrzała na mnie uważnie.

— Ja wiem, że się mieszka — wyrwała się.

Kierowniczka uniosła brwi.

— W zasadzie sutereny zlikwidowaliśmy — dodała — ale zlikwidowaliśmy tylko sutereny niemieszkalne.

Zrozumiałem. Sutereny można różnie klasyfikować. Podobnie jak strychy. Sprawa jest cienka, delikatna. Także ostra — jakby powiedział ostry polemista w dyskusji przedwyborczej. Mnóstwo ludzi wciąż jeszcze czeka na ludzkie mieszkania. Czas czekania jest najgorszy ze wszystkich. Tortura. Bo przy niejednej ulicy znajdzie się jeszcze małe schodki, prowadzące w dół. Do sutereny, której zakratowane okienka wystają ponad bruk.

Nie wymagajmy zbyt wiele.

W ciągu ostatnich czterech lat wskaźnik zagęszczenia na izbę spadł w tej dzielnicy z 1,85 do 1,63. Program wyborczy wspomina o 19 tysiącach nowych izb, a wybudowano 21.423 izby. Czy to nie jest postęp? W najtrudniejszej dziedzinie program wykonano z takim saldem dodatnim, które budzi szacunek. A jeśli wciąż tyle rodzin mieszka gorzej niż powinno, to złożył się na to splot szczególnych czynników. Nazajutrz po wojnie Bałuty wyglądały jak po ciężkim bombardowaniu. Całe połacie tej dzielnicy leżały w gruzach.

Tu mieściło się getto, czy to nie tłumaczy wszystkiego?

Tu stoją domy tych, którzy umarli.

Tutaj rozegrał się jeden z największych dramatów ostatniej wojny. Milczący dramat.

Czy budownictwo mieszkaniowe będzie się rozwijać w tym samym tempie?

Z kompetentnych ust usłyszałem:

— Owszem, dalej będziemy rozbudowywać osiedla na Żubardziu, Władysławskiej, na Dołach, przy Pojezierskiej, przy Wielkopolskiej. Przede wszystkim będziemy jednak budować na Teofilowie. Na tym stanęło, że skoncentrujemy tam 70 procent naszego budownictwa. Za parę lat Teofilów będzie liczył 50 tysięcy mieszkańców. To będzie jakby drugi Piotrków. Mamy też na głowie nieprzebraną ilość innych, równie ważnych spraw do załatwienia.

Wiem jakie to sprawy.

Przeglądałem listę postulatów.

Jest tasiemcowa. Zawiera 1207 wniosków, które odnoszą się do kanalizacji, wodociągów, dróg, ulicznych zdrojów, kin, bezpieczeństwa, świetlic, komunikacji i setki innych kwestii. To nie litania gorzkich żalów. To lista żądań, które mają być spełnione i koniec. To forma społecznej presji, z którą nolens volens liczyć się musi najbardziej zatwardziały zwolennik najbardziej sztywnych ram centralizacji. Specce biorą te postulaty na warsztat i segregują. — To się da zrobić, a tamto musi poczekać. Zadanie niewdzięczne, bo nikt o gruszki na wierzbie nie prosi. Jak zapewnić jednak wszystkim już dziś wodę z kranów, skoro połowa domów na Bałutach ciągnie jak za cara wodę ze studni? Jak zapewnić sprawną komunikację, skoro tylko 20 procent ulic ma twardą nawierzchnię? Autobus nie przejedzie polnymi wertepami, o tramwaju szkoda marzyć. Tramwaje dudnią w porannej mgle dopiero na Zgierskiej, Aleksandrowskiej. Trzeba więc na iluś tam uliczkach zrywać się o godzinę wcześniej. Brnąć w słotę i śnieżycę do odległego przystanku.

Problemów tyle, że łyżką się nie zje.

Niejedno trzeba odłożyć na później. Tymczasem priorytet dano oświacie. To piękny gest, światła decyzja. Na Bałutach wydaje się rocznie przeszło 70 milionów złotych na utrzymanie sieci doskonałych szkół. Wydaje się, że żadna inna dzielnica Łodzi nie posiada tak dobrych szkół. Prawie 80 procent dziatwy szkolnej pobiera tu naukę w budynkach zbudowanych po wojnie. To nowoczesne budynki. Funkcjonalne, pełne rozmachu w kompozycji, szlachetnej prostoty w liniach. Świetna robota te szkoły. Pogratulować.

Czyż nie wiem z autopsji czym były Bałuty?

Czyż nie były najbardziej zaniedbaną ze wszystkich zaniedbanych przedmieść zaniedbanej Łodzi? Więc dość już tego wyliczania. Szpargały na bok i dalej na świeże kwietniowe powietrze. Ciągnęło na Młynarską, gdzie spędziłem jakiś czas przed wojną. Szedłem bocznymi ulicami, na wyczucie, pewny, że tutaj nie pobłądzę. Tu parkan, tam pusty plac, ówdzie chatki jak na wsi pod Bełchatowem. Kiedyś stały gęsto. Niemal włazily na siebie szczytami. Teraz tu luźniej. Wielkie nie zabudowane przestrzenie. Dopiero tu musi wiatr gwizdać jesienią. Znowu jakieś pokrzywione budy, zmurszałe szopy, na pół rozwalone drewniaki o ciężkich okiennicach. W tych drewniakach stoją piecyki z żelazną rurą. Jestem pewny, że stoją. Jeszcze jakiś ogródek i wreszcie tabliczka na rogu.

Ulica Młynarska.

W pierwszej chwili zdębiałem. Czyżbym się pomylił. Ależ nie, to była Młynarska. Tu mieszkałem. To było miejsce szaleńczych zabaw i nieprawdopodobnych harców.

Mało kto dziś pamięta, co się działo na tych ciemnych, ponurych uliczkach po zapadnięciu zmroku. Na rozpaczliwy skowyt o pomoc, policjanci chyłkiem chowali się po bramach. Czasem tylko przejeżdżał tędy konny patrol i znikał. Tu operowały gangi. Nie tylko młodociane.

Pamiętam.

Dlatego twierdzę, że ulicy Młynarskiej już nie ma.

Nie ma tu niczego, co by przypominało zamknięte dla niewtajemniczonych rewiry przedwojennej Łodzi. Inna jest panorama. Inni ludzie. Z lewej budynki mieszkalne, uszeregowane w bryły odwrócone bokiem do ulicy. Z prawej wieżowiec. Tuż obok nowa szkoła. Na boisku dzieciaki w czarnych mundurkach i białych kołnierzykach. A jednak byłem na Młynarskiej. Puszczałem latawce w miejscu gdzie jest sala gimnastyczna, a przedtem stały parterowe drewniaki oblepione przybudówkami.

Na tle nowych budynków odcinała się wysoka czynszówka. Ona jedna oparła się naporowi czasu. Trwała jak pomnik, jak widmo dawnych lat. Wdepnąłem na podwórze. Oficyny wyparowały. Ulotniły się też drewniane balustrady na których w słoneczne dni wieszano czerwone poduchy. Nawet studni już nie było na podwórzu; z okna na parterze wyjrzała staruszka. — O ile dobrze pamiętam — zwróciłem się do staruszki — kiedyś od frontu mieścił się sklep w tej kamienicy. Staruszka aż się zakrztusiła. — To pan wie? — spytała. A skąd pan o tym wie? Tu kiedyś był sklep na sklepie, to była bardzo handlowa ulica, proszę pana, nie to co dziś...

Wiem, pamiętam.

Dziś na Młynarskiej pusto i sennie, choć nowocześnie.

Skoczę teraz do Gienka Sudermana. Roześmiałem się. Wybrałeś się braciszku. Drewniany kościółek na Pasterskiej stał na swoim miejscu. Był nienaruszony. Przy nim kilka zakonnic. Młode, ładne. Za kościółkiem powinien być drewniak. Akurat, śladu po nim. Wiedziałem, że Gienka już nie ma. Nie wierzę przecież w cuda. Rozdzieliło nas życie. Sądziłem jednak, że drewniak się uchowa. Nic z tego. Na strychu w tym drewniaku połykaliśmy z Gienkiem jeden tom Karola Maya po drugim. Potem ruszaliśmy biegiem na Bałucki Rynek do kina za 25 groszy. Niezwyciężony Tom Mix, wspaniały Tom Mix, czy był ktoś większy na tym świecie od Toma Mixa.

Znowu jestem na Bałuckim Rynku.

Jest ten sam w kształcie, inny charakterem. Gdzie beczki z ogórkami, kapustą, szmalcówkami, ulikami? Gdzie stragany z cebulą. Gdzie chłopskie furmanki? Gdzie babiny przy koszach z bobem, fasolą i pestkami od dyń? Gdzie ów specyficzny zapach rynsztoka, końskiego łajna, resztek po ziemniakach i słomie? Gdzie handlarze cudownych środków na odciski, sprzedawcy kanarków, gołębi, także książek bez okładek. Gdzie ów rejwach, jak na tureckim bazarze? Cisza, spokój. Tramwaj przeleci, taksówka zagwiżdże na asfalcie i wszystko. Powiedziałbym: nudnie.

Ślady po cwaniakach, którzy w ciągu jednej godziny potrafili puścić w obieg 10 fałszywych dwuzłotówek, mimo, że chłop gryzł monetę w zębach, tłukł nią o bruk, szedł do Żyda na róg, żeby zważyć na kunsztownej wadze.

Cuda działy się na Bałuckim Rynku.

Nowe gmachy. Kobiety szorują okna. Jak wymyją i oczyszczą, to ustawią doniczki z pelargonią i powiedzą do męża — leniu jeden, kiedy się weźmiesz do roboty? Jakiś czworobok nowoczesnych budowli. Na dziedzińcu dzieciaki zwożą taczkami pulchną, ogrodniczą ziemię. Szykują kwietnik, to widać. Może to właśnie jest pierwszym symptomem formowania się w bloku życia społecznego? Obok drewniaki. Straszliwe, ubiegłowieczne, w swej brzydocie nieludzkie. Nigdzie żadnych pamiątek. Żadnych wartościowych obiektów. Szarzyzna. No cóż, w całej Łodzi nie było nigdy oddechu wieków. Był tylko oddech fabryk. Bałuty stały się niegdyś myślowym skrótem. Symbolem czegoś co jest nędzne, brudne, zapuszczone i tandetne. Reprezentowały wszystkie te cechy, które nam się kojarzą z bałaganem, pstrokacizną, chaosem i rynsztokiem dawnych miast carskiego imperium.

Jeśli więc tezą są stare Bałuty, antytezą to co się teraz buduje, to na syntezę trzeba będzie jeszcze poczekać.

Jeszcze się nie wykluła.

Stąd takie dziwolągi, że odrapana, jak po azjatyckiej ospie, cała w plamach kamienica, stoi w poprzek nowej zupełnie ulicy. Stąd czynszówki odwrócone pustą ścianą do przechodniów. Improwizacja, prowizorka. Jakich trzeba architektonicznych talentów, by dzień wczorajszy zlał się w harmonijnej symbiozie z dniem dzisiejszym. Do radosnego finału takim mogą być tylko Anty — Bałuty jeszcze daleko. Na to trzeba będzie jeszcze miliardów złotych i kilka kadencji rady narodowej.

W wąskiej uliczce za Rynkiem stało kilkanaście dorożek.

Dorożkarze drzemali na kozłach w cieniu wysokich wież gotyckiego kościoła.

Ostatni mohikanie Łodzi, która odeszła.

JAN BĄBIŃSKI

Ze wspomnień ŚMIECIARZA

Dalszy ciąg ze str. 1

wiedziałem już, że tylko uzyskanie pisemnej zgody dyrekcji przedsiębiorstwa surowców wtórnych otworzy przede mną drzwi punktów skupu. Uzbrojony w podanie z odpowiednim zaświadczeniem, stwierdzającym moją tożsamość, ruszyłem do dyrektorów i prezesów instytucji, kierujących planowym i rozsądnym zakupem surowców wtórnych dla potrzeb przemysłu. Są w naszym mieście trzy takie instytucje — jedna państwowa, dwie spółdzielcze, trzej są też naczelni zwierzchnicy. **Dwaj przyjęli moje zgłoszenie życzliwie, deklarując najdalej posuniętą pomoc i poparcie, dalekowzrocznie oceniając społeczny sens usługi,** pozostały, nie wymieniony tu z nazwiska zwierzchnik okazał się być człowieczkiem małym, lękliwym, źle wychowanym. Sens jego wypowiedzi udzielonej zresztą na korytarzu, bez podania ręki nawet na pożegnanie, **dawał do zrozumienia, że wartościowa książka równie dobrze będzie zmielona w papierni, jak pierwszy lepszy zwitek papieru. To rzekłszy, prezes surowo (przepraszam za zbieżność tego słowa z nazwą pewnej instytucji) zakazał wstępu do placówek podległych jego władzy.** W tym momencie duch kalifa Omara zaśmiał się radośnie.

Na podstawie zezwoleń uzyskanych od dwóch instytucji zacząłem prowadzić kwerendę w kilkunastu, potem w kilku, dzisiaj już chyba w czterech punktach skupu. Podstawowym zastrzeżeniem instytucji był zwrot makulatury w ilościach równych wybranym i zabezpieczonym dziełom, tak by majątek przedsiębiorstwa nie poniósł żadnej straty. Trzeba przyznać, że zobowiązanie to było ściśle przeze mnie przestrzegane.

Kierownik punktu skupu ma niewielkie pobory, ciężką pracę i opłakane często warunki w lokalu pozbawionym elementarnych urządzeń sanitarnych. Aż dziw, że ludzie ci wytrzymują w trudnych warunkach atmosferycznych, zachowując przy tym pogodę ducha i wesołe usposobienie. W sytuacji, kiedy punkt prowadzi skup tzw. makulatury mieszanej i szmat, trudno wymagać, aby w niewielkim pomieszczeniu sklepowym sortował jeszcze zakupione druki pod kątem ich przydatności dla takich czy innych celów. Nie mówię tu już o dobrej woli człowieka, myślę o jego wydolności fizycznej i przygotowaniu intelektualnym, które w warunkach oceny wartości zabezpieczonego druku może się okazać zawodne. Kierownik placówki boi się na ogół wyrokować w sprawie wartości książki naukowej w języku obcym, rękopisu, fotografii, nut, pojedynczych egzemplarzy dawnej prasy tygodniowej i codziennej, ulotek i druków akcydensowych.

Każda penetracja w nagromadzonej w sklepie masie towarowej łączy się z możliwością spowodowania trwałego nieporządku wymagającego w następstwie zaangażowania własnej siły kierownika punktu skupu lub narażenia się na przykrości ze strony ludzi odpowiedzialnych za transport. Dokonujący kwerendy musiał pilnie uważać, aby tolerancja jego osoby nie przerodziła się w niechęć, niemniej nie mógł się spodziewać istotniejszej pomocy w sensie awizowania nowych nabytków z interesującego go zakresu poszukiwań. **Wyraźna klauzula przedsiębiorstw zabraniała kupna książek, czyli towaru, należało więc zabiegać prywatnie o odpowiednie zabezpieczenie makulatury, które umożliwiłoby przygotowanie ekwiwalentu wybranych dzieł.** Często zdarzało się, że wybrana jednego dnia książka musiała wrócić na makulaturę z powodu niekompletności lub nieodwracalnych zniszczeń czy wreszcie wątpliwego interesu społecznego. Często dopiero konsultacja z ekspertami w danej dziedzinie wiedzy mogła odpowiednio zakwalifikować wybrany druk.

Działalność moja zmierzała głównie **do ocalania dzieł naukowych i czasopism przydatnych w bibliotekach wyższych uczelni,** ale trudno przecież było przejść obok wyrzuconej na przemiał książki reprezentującej pewne wartości artystyczne lub ideowe, choć wiadomo było, że książka ta znajduje się w posiadaniu wspomnianych książnic. Dla przykładu wspomnieć należy, że dość licznie znajdywane w składach makulatury popularne niegdyś okazy tzw. literatury jarmarcznej nie są z zasady przechowywane w bibliotekach naukowych i publicznych, nie są też atrakcyjne dla antykwariatów z uwagi na znikomą wartość pieniężną. Nie świadczy to wcale o ich bezwartościowości, jeśli jeden z młodych naukowców łódzkich przygotowuje właśnie rozprawę doktorską na temat literatury jarmarcznej. **Makulaturowe znaleziska są więc dla niego bezcennym i jedynym często źródłem informacji formalnej i rzeczowej.** Zorganizowana przezeń wystawa publiczna tych druków pozwoliła unaocznić, ile spomiędzy wystawionych eksponatów pochodzi z makulatury przeznaczonej na zniszczenie.

Poważne, wielusettysięczne księgozbiory, są kapryśnymi odbiorcami makulaturowych znalezisk. Wobec ogromnego rozwoju sztuki drukarskiej, żadna biblioteka nie może sobie pozwolić na gromadzenie większej ilości zbędnych druków. Stąd najczęściej rzeczy drobne, broszury, luźne numery czasopism, uzupełniające stan księgozbioru, więcej radują dział gromadzenia zbiorów konkretnej biblioteki, aniżeli dziesiąty egzemplarz popularnej encyklopedii. Najpoważniejszym więc odbiorcą ciekawych druków, pochodzących z makulatury, musi się stać bibliofil, uczony, czytelnik wreszcie szukający bezskutecznie upragnionego dzieła do własnego księgozbioru. Czytelnik taki trafia wcześniej czy później do antykwariatu, by tam spotkać się z żądaną książką, często pochodzącą z makulatury. **I to właśnie jest społeczny sens przedłużania życia książki, wyrwania jej z barbarzyńskich rąk i przekazania tam, gdzie się spotka z serdecznym przyjęciem.**

Mógłby mi ktoś zarzucić, że praca moja łączy się z chęcią zysku. Ustawodawstwo PRL wyraźnie stawia sprawę wynagrodzenia za wykonywaną pracę. Zarówno w mojej pracy zawodowej, jak i w innych instytucjach, z którymi jestem związany administracyjnie lub prawami współpracy, nie posiadam z tytułu ratowania książki jakichś dodatkowych uprawnień, nagród i ulg, nie roszczę sobie też prawa do wdzięczności. Penetracją punktów skupu zajmuję się wyłącznie w godzinach wolnych od pracy zawodowej.

Działalność moja daje mi swobodę dysponowania znalezionymi dziełami, których właściciele przez sam fakt anonimowej sprzedaży pozostają nieznani. Poważna część znalezisk wędruje bezpośrednio do bibliotek naukowych różnych instytucji (np. rękopisy dotyczące szkolnictwa elementarnego w woj. łódzkim w XIX w. przekazałem ostatnio Bibliotece UŁ, duży zbiór prasy codziennej i muzykaliów przekazany tej samej bibliotece, zespół fachowej prasy lekarskiej i książek medycznych, przekazany bibliotece, której jestem pracownikiem). Te i tym podobne dary poczynione w różnych okresach czasu w przeliczeniu na złotówki sięgają zapewne sumy wielu dziesiątków złotych, ale nie jest tu ważna, jak to niejednokrotnie wspominałem, ich wartość pieniężna, lecz wartość kulturalna, niewspółmierna do poprzedniej. Sam fakt uratowania od zagłady unikatów mówi sam za siebie.

W świetle poczynionych obserwacji i poszukiwań nie udało mi się natrafić (poza nielicznymi wyjątkami) na jakieś rewelacyjne znaleziska, ale działalność moja pozwoliła **bez straty dla przedsiębiorstw umożliwiających mi kwerendę uratować przed zagładą myśl ludzką zawartą w książce i dokumencie, w tekście muzycznym i rycinie, by przetrwała dla pokolenia naszego i przyszłości.**

Wdzięczność swoją winienem tym wszystkim osobom i instytucjom, które doceniły mój trud i dobrą wolę, wyrządzone przykrości i moralną krzywdę kładąc na karb sumienia maleńkich spadkobierców kalifa Omara z partykularza kultury.

WŁADYSŁAW ANDRZEJ KEMPA

LEKARZE JUTRA

Lew Landau

Oddział kardiologiczny wielkiej kliniki w Paryżu. Głęboką ciszę szpitala przerywa głos syreny. Czyjeś serce bić przestaje, czyjeś życie dobiega końca. Dwie elektrody przytknięte do pulsów chorego przekazały skomplikowanej aparaturze ostatnie uderzenie serca. Na ekranie telewizora ostatni skok wykresu świetlnego... ostatni dźwięk... „tak". Potem już tylko prosta lśniąca kreska milczenia.

W każdej minucie umiera na świecie tysiące ludzi, których serca przestały pracować. Od tysiącleci ten fakt jest jednoznaczny ze śmiercią. Z punktu widzenia prawnego człowiek, którego serce nie bije jest uznany za zmarłego. Szpitalna syrena alarmowa nie jest jednak dzwonem cmentarnym. Jej głos to sygnał rozpoczęcia wielkiej bitwy ze śmiercią. Nowoczesna nauka coraz dalej przesuwa granice życia. Ucho przyłożone do piersi, lusterko szukające śladów oddechu to obrazy przeszłości. Dziś pojęcie nagłej śmierci nie istnieje.

Śmierć to proces powolny. Komórki organizmu umierają sukcesywnie, mózg w ciągu kilku minut, serce i nerki w ciągu 20—30 minut, a komórki mięśni paru godzin.

Współczesna medycyna może proces śmierci biologicznej zatrzymać.

Dr Adelson z Ohio dokonał autopsji 500 osób zmarłych na udar serca i doszedł do wniosku, że większość z nich można było przywrócić do życia.

Na głos syreny biegną lekarze i pielęgniarki. Alarmuje czuwający nad chorym aparat — „strażnik serca". Zanim zdążą lekarze, aparat sam w ciągu kilku sekund rozpoczyna bitwę o życie.

Krawiec z Senlis cierpiał na lekką niewydolność serca. Lekarz przepisał mu kilkukroplową dawkę digitalisu. Przez pomyłkę krawiec zażył wieczorem podwójną ilość leku. Serce zaczęło bić szaleńczo. Natychmiast zawieziono chorego do szpitala, a stamtąd do paryskiej kliniki. Tu od chwili przybycia chory był pod obserwacją „strażnika serca". Sygnał alarmowy oznajmił chwilę krytyczną. Wokół łóżka lekarze, pielęgniarki. Zastrzyki, tlen, transfuzja uzupełniają działanie aparatury. Nowa seria impulsów wstrząsa ciałem chorego. Asystent spogląda w źrenice — są straszliwie rozszerzone — śmierć wydaje się nieunikniona. Nowe komplikacje — krzywa świetlna zaczyna drgać, ale częstotliwość odchyleń zwiastuje nowe niebezpieczeństwo. Włókna mięśnia sercowego drgają każde oddzielnie. Automat wyłącza natychmiast elektrowstrząsy o sile 180 V i w ułamku sekundy wysyła straszliwe uderzenie 1200 V. Ciało „zmarłego" gwałtownie unosi się i opada — nastąpiła blokada włókien serca, konwulsyjne skurcze ustały.

Pełna napięcia cisza... ludzie i aparat nie dają za wygraną. Nowa seria wstrząsów o napięciu 180 V. Każdy impuls elektryczny wywołując nowy skurcz serca sprawia, że krew dopływa do mózgu i nie pozwala mu umrzeć. Lekarze wiedzą, że to są już środki ostateczne.

Zdarza się jednak, że serce zaczyna pracować dopiero po kilku godzinach działania aparatu. Obserwujący ekran oczekują cudu:

Świetlna kreska zaczyna ząbkować. Wychylenia są coraz wyraźniejsze. Automat wyłącza wstrząsy... słychać charakterystyczne... tak, tak... Ludzie dwudziestego wieku wskrzesili człowieka.

Największe jednak osiągnięcie w tej dziedzinie, to przywrócenie życia radzieckiemu profesorowi. Genialny Lew Landau, laureat nagrody Nobla, w dniu 7 stycznia 1962 r. na oblodzonej szosie w okolicy Moskwy uległ wypadkowi samochodowemu. W szpitalu im. Timiriazewa, dokąd przywieziono uczonego, lekarze stwierdzili 18 śmiertelnych ran, nie licząc, pęknięcia czaszki, podwójnego złamania podstawy czaszki i wylewu płynu mózgowo - rdzeniowego. W cztery dni po wypadku, mimo wysiłku największych sław medycyny radzieckiej, oddech profesora raptownie zamarł. Nastąpiła śmierć kliniczna. Transfuzje, pobudzające zastrzyki i... cud! Serce profesora bije. W trzy dni później o 5 rano śmierć powraca. Chirurdzy dokonują tracheotomii, wprowadzając w gardło chorego przewód sztucznego płuca. Znów sukces!

Jedenastego dnia prof. Landau umiera. Znów desperackie zmagania ze śmiercią... i zwycięstwo... ale jaka będzie jego cena. Między śmiercią kliniczną, a wznawianiem akcji serca mijały długie okresy, podczas których mózg uczonego pozbawiony był dopływu krwi. Spowodowało to uszkodzenia zdawałoby się nieodwracalne...

Osiemnastego dnia temperatura skacze do 41 stopni. Lekarze stwierdzają zapalenie mózgu. Jest tylko jeden lek — w danej chwili brak go w Moskwie. Lekarze rzucają w eter wołanie SOS. Tego samego dnia nadchodzi z Londynu przesyłka — prof. Landau — tyle było słów adresu. Natychmiast wykonano zastrzyk. Stan zapalny ustąpił.

40 dni i 40 nocy prof. Landau znajduje się w letargu. Jest tylko masą ciała i kości, w których dziesięć skomplikowanych aparatów podtrzymuje życie. Czy uda się go ocalić — czy genialny umysł uczonego nie dozna szwanku?

W dwanaście miesięcy później, w parku Instytutu Neurochirurgii w Moskwie spotkałem — mówi dziennikarz włoski — człowieka przechadzającego się w towarzystwie 2 pielęgniarek. Usłyszałem jak pielęgniarka pytała: „Lew pomóżcie mi pomnożyć 974 przez 786". Miałem zaledwie czas, by zanotować te liczby, a już padła cicha odpowiedź: „765,364 moja miła".

Prof. Landau i krawiec z Senlis znaleźli w decydującym momencie lekarzy i narzędzia zdolne dokonać cudu zmartwychwstania.

Znany biolog Jean Rostand mówi: — „Śmierć to nie diagnoza, ale prognoza, którą można zmienić równolegle z rozwojem nauki. Potencjalnie człowiek jest nieśmiertelny". W swojej pracy naukowej amerykański uczony Robert Ettinger otwiera przed nieśmiertelnością szerokie horyzonty. Bazując na doświadczeniach przeprowadzonych na organizmach w nieslychanie obniżonej temperaturze, Ettinger proponuje zamrażanie zmarłych, aż do dnia, kiedy postęp nauki pozwoli ożywić ich i leczyć schorzenia, które były przyczyną zgonu, niezależnie czy to były choroby, czy starość.

Jean Rostand twierdzi, że „każdy zmarły jest tylko aktualnie nieuleczalny — innymi słowy należy do żywych dnia jutrzejszego".

CZYŻBY GRÓB ESKULAPA?

Brytyjski egiptolog, Walter Amerie, który już od wielu lat prowadzi prace wykopaliskowe niedaleko Kairu, złożył interesujące oświadczenie, iż ostatnio odkrył wielką ilość grobów, wśród których — jak powiedział — znajduje się również grób legendarnego „ojca medycyny" Eskulapa. Oświadczenie to wywołało wśród uczonych całego świata ogromne poruszenie.

Doktor Amerie oraz jego współpracownicy odkopali dotąd zaledwie część szeroko rozbudowanego systemu tuneli-grobowców, ciągnących się na obszarze kilku kilometrów kwadratowych. Odkrycia dokonano w jednej z dolin w pobliżu miasta Sakkara, niedaleko od najstarszej w świecie kamiennej budowli — gigantycznej piramidy Schodkowej. Projekt tej piramidy opracował Eskulap (tak nazywali go Grecy. Egipcjanie zwali go Imchotepem) ponad pięć tysięcy lat temu dla swego protektora, faraona Dżosera.

Jak utrzymuje uczony brytyjski, wstępne prace wykopaliskowe wskazują, iż podziemny labirynt był miejscem składania hołdów wielkiemu doktorowi, filozofowi i architektowi w jednej osobie. Ów labirynt można by porównać do słynnego Lourdes we Francji. Tutaj też najprawdopodobniej zdarzały się „cudowne" uleczenia chorych, które przypisywano boskim mocom Eskulapa.

Labirynt ciągnie się pod grobowcami Trzeciej Dynastii. Tunele odchodzące w prawo i w lewo od głównego tunelu są zawalone tysiącami zmumifikowanych ibisów, spoczywających w ofiarnych dzbanach. Warto przypomnieć, że ibis był jednym ze świętych ptaków, związanych z kultem Eskulapa.

Doktor Amerie udostępnił zwiedzanie tego prastarego zabytku przeszłości całkiem niedawno.

— Najprawdopodobniej — powiedział do korespondentów brytyjski egiptolog — natrafiliśmy na wejście do labiryntu, względnie na centrum całego systemu tunelów. Jestem przekonany, że gdzieś tutaj musi się znajdować grób Eskulapa, a już w najgorszym wypadku jego część.

W trakcie tych prac wykopaliskowych brytyjscy uczeni odnajdą z pewnością kamienne tabliczki i stare dokumenty, które, rzecz jasna, będą miały doniosłe znaczenie naukowe. W oświadczeniu dla prasy doktor Amerie podkreślił, że prace poszukiwawcze są dopiero w stadium początkowym i że całą ekipę czeka jeszcze moc roboty. Wiele spośród podziemnych przejść, które jak plastry miodu upstrzyły cały labirynt, ma ok. 270 cm szerokości i ok. 360 cm wysokości. Są one wykute w twardej, litej skale.

Brytyjski uczony, który prowadzi prace wykopaliskowe pod patronatem Brytyjskiego Towarzystwa Egiptologicznego, opuścił Sakkara w lutym br., gdzie kieruje pracami naukowo-badawczymi od r. 1930. W przeciągu tego długiego okresu dokonał on wielu doniosłych odkryć na pustyni nubijskiej. Do jednego z najciekawszych należy odkopanie starych fortyfikacji egipskich. To oraz inne odkrycia archeologiczne dowodzą, iż starożytni Egipcjanie przenikneli na południe znacznie dalej, niż dotąd przypuszczano. Obok tego stwierdzono zdumiewająco wysoki poziom techniki ówczesnego Egiptu.

Amerykańscy egiptolodzy przypuszczają, iż doktor Amerie rzeczywiście odnalazł grobowiec Imchotepa, gdyż odkopanie „Esculapium", tj. miejsca składania darów za „cudowne" uleczenia, dowodziłoby, że w pobliżu musi się znajdować i mauzoleum Eskulapa.

Najpowszechniej CZYTANE

Mgr IZABELA NAGÓRSKA

Kustosz Biblioteki Miejskiej im. L. Waryńskiego

Pełny obraz czytelnictwa w naszym mieście wymaga licznych materiałów i zestawień związanych z działalnością bibliotek naukowych, fachowych, szkolnych, związkowych, społecznych i publicznych. Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy zajmijmy się bodaj szkicowo czytelnictwem w tych ostatnich.

Z początkiem roku 1965 w skład miejskiej sieci bibliotecznej wchodziły: Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego, jej filia przy Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów, 5 bibliotek dzielnicowych, 49 bibliotek rejonowych dla dorosłych i dla dzieci oraz 83 punkty biblioteczne. W końcu stycznia otwarto dwie placówki w dzielnicy Dąbrowa i jedną na Bałutach, tak więc bilans 20-lecia zamknął się liczbą 59 bibliotek publicznych.

Niezależnie od faktu, iż stan ten nie odpowiada nadal potrzebom przeszło 730-tysięcznego miasta trzeba stwierdzić, że powstanie 9 nowych bibliotek na przestrzeni czternastu miesięcy stanowi sukces dotychczas nie notowany. Tym samym wysiłek dzielnicowych rad narodowych i bibliotekarzy łódzkich godny jest podkreślenia i pochwały.

Wzrostowi ilości bibliotek towarzyszy wzrost ilości czytelników. W ub. roku przybyło ich (w ramach ogólnej sumy 75.409) — 17.467, to znaczy trzykrotnie więcej niż w r. 1963. Tu dla porównania warto przypomnieć miniony okres czteroletni (1958—1961) ilość czytelników wzrosła tylko o 18.189 osób.

Dane statystyczne wskazują, iż czytelnictwo rozwija się obecnie w bibliotekach nowych osiedli takich, jak: Żubardź, Koziny, Doły, Dąbrowa o wiele szybciej niż miało to miejsce w placówkach rozpoczynających swoją działalność w pierwszym powojennym dziesięcioleciu.

W Miejskiej Bibliotece Publicznej zanotowano w ubiegłym roku wzrost odwiedzin o 38 proc., a wzrost wypożyczeń o 44,7 proc.

Obserwuje się tak duży napór ze strony uczących się studentów (tak stacjonarnych jak i zaocznych) oraz uczniów starszych klas szkół średnich, że koniecznością staje się nie tylko rozbudowa gmachu, lecz i powstanie czytelni naukowych w niektórych dzielnicach miasta.

Zakres ilościowy czytelnictwa na terenie placówek miejskich ilustrują ostatnie obliczenia wypożyczeń (1.664.367) i księgozbiorów (657.636 wol.).

Mimo stałej poprawy sytuacji zaopatrzenie łodzian w książkę z publicznych bibliotek powszechnych jest ciągle niedostateczne i stale poniżej norm wykazywanych przez inne środowiska w kraju. Włączając zasoby Biblioteki Łódzkiego Domu Kultury Łódź uzyskała 78,4 wol. na 100 mieszkańców, podczas gdy miernik ogólnopolski wynosi 126,2. Niepokojąco także przedstawiają się różnice pomiędzy poszczególnymi dzielnicami miasta: w Górnej — 43,5 wol. na 100 mieszkańców, na Widzewie — 64,3 wol., Bałutach — 62,8. Górna posiadająca tylko o 8 tys. mniej mieszkańców od Bałut wydała na zakup książek w ub. roku 121 tys. zł mniej.

Nie zapominając o drugim nurcie czytelnictwa powszechnego, który wiąże się z istnieniem 166 bibliotek związkowych powyżej 500 wol. oraz 172 punktów bibliotecznych (524.251 wol., 59.801 czytelników, 879.489 wypożyczeń) — widzimy, że dorobek 20-lecia w tej dziedzinie kultury Łódź musi poważnie jeszcze uzupełnić.

Jak na tym tle statystycznym wyglądają zainteresowania, potrzeby i upodobania czytelników bibliotek rejonowych?

Wśród nich największą grupę stanowi młodzież ucząca się, 16.6 proc. to robotnicy pracujący i około 10 proc. — czytelnicy nie pracujący, wywodzący się ze środowiska robotniczego.

Podstawę czytelnictwa — stanowi jak wszędzie — beletrystyka. Wypożyczenia literatury niebeletrystycznej, popularno-naukowej, roczników czasopism utrzymują się średnio od kilku lat w granicach 26 proc. (Bywają placówki, w których przekraczają nawet 33 proc.). Jest to wykorzystanie stosunkowo wysokie, aczkolwiek niewspółmierne do zaopatrzenia naszych bibliotek w tego typu piśmiennictwo (40,3 proc.).

Najbliższą temu są biblioteki dzielnicy Górna, które uzyskały aż 31,65 wypożyczeń literatury niebeletrystycznej.

Tematycznie, zapotrzebowania czytelników koncentrują się, obok beletrystyki, przy pamiętnikach, wspomnieniach, biografiach, najnowszej historii, głównie z okresu II wojny światowej, technice i poradnikach praktycznych, reportażach społeczno-politycznо-podróżniczych, publikacjach z zakresu medycyny i higieny oraz opracowaniach literackich.

Na pierwsze miejsce wybijają się w poczytności (równej często poczytnym powieściom) takie pozycje, jak:

„Barwy walki" Moczara, „Siedem polskich grzechów głównych" i „Przepustka do historii" Załuskiego, „My pierwsza brygada" — Arskiego, „Kroniki z lat wojny" — Landaua, „II wojna światowa na morzu" — Lipińskiego, Pamiętniki de Gaulle'a, Eisenhowera, Guderiana, Casanovy, Erenburga (Ludzie, lata, życie) i in.

Szerszy ogół czytelników niewielu zna autorów pozycji pozabeletrystycznych, ale niektórzy z nich „dorobili się już nazwisk" w bibliotekach. Są to przede wszystkim popularni od lat Fiedler, Żabiński, Centkiewicz oraz Kosidowski, którego książki „Królestwo złotych jez" i „Gdy słońce było bogiem" znalazły pełne uznanie jeszcze przed ogromnym sukcesem „Opowieści biblijnych".

Popyt na wszystkie nowości pamiętnikarsko-faktograficzne utrzymuje się już od kilku lat w równym natężeniu co na publikacje z serii „Iskier" i „Dookoła Świata". Zainteresowania z działu techniki skupiają się głównie wokół publikacji o pojazdach mechanicznych, radiu i telewizji. Zawsze też zapotrzebowania biblioteczne obejmują elektrotechnikę i poradniki przydatne w życiu codziennym.

Ze względu na dużą ilość w naszych bibliotekach młodzieży uczącej się i dokształcających się osób starszych uwidacznia się coraz poważniejsze wykorzystanie literatury informacyjnej: **encyklopedii, roczników politycznych i gospodarczych, świata w przekroju, „20 lat Polski Ludowej", „Polska a świat współczesny".** Dodać należy, iż wśród młodzieży poczytne są również (w niektórych placówkach nawet bardzo) pozycje z fotografiki i filmu.

Bibliotekarz porządkujący obserwacje, wycinkowe badania i wyniki licznych konkursów celem ustalenia utworów literatury pięknej najpowszechniej czytanych i poszukiwanych, najbardziej wzajemnie sobie przez czytelników polecanych, staje przed obrazem czytelnictwa zróżnicowanego, ale ujawniającego główne tendencje i zmiany kierunkowe zainteresowań. Znajdziemy tu znakomitych klasyków polskich i obcych, drugorzędną prozę XIX-wieczną, współczesne powieści obyczajowe i „historyczne, utrzymane w tradycyjnych konwencjach literackich i najwybitniejsze dzieła współczesne, trudne i wymagające przygotowania, utwory rozrywkowe, awanturnicze, sensacyjne i tzw. powieść zaangażowaną. Podobnie jak w latach poprzednich najwyższe wypożyczenia wykazują: klasyka, Wojna i pokój, Anna Karenina i Zmartwychwstanie — L. Tołstoja, Pustelnia Parmeńska i Czerwone i czarne — Stendhala, Droga przez mękę — A. Tołstoja, Cichy Don — Szołochowa, Noce i dnie — Dąbrowskiej, Lord Jim i Tajfun — Conrada, książki Dumasa, Londona, Coopera, Maya, Stevensona. Czytelnicy nadal szturmują o dzieła Hemingwaya, Steinbecka, Faulknera, Caldwella, Sartre'a, Moravii, Malapartego, Frischa i „Dżumę" Camusa.

Kobiety i młodzież mają swoje ulubione autorki: Fleszarową, Jackiewiczową, Galicę-Snopkiewicz, Rolleczek, Leję, Kaczyńską, a także preferują angielską klasykę: Hardy'ego, Emmę Austen.

W tej grupie czytelniczej poza poetyckimi lekturami szkolnymi niezmiennym powodzeniem cieszy się Gałczyński, Broniewski, Tuwim, Jasnorzewska i większość tomików serii „celofanowej".

Istniejące ciągle zapotrzebowanie na „kryminał" nie stanowi już problemu nie tylko w wyniku świadomej polityki gromadzenia stosowanej przez biblioteki rejonowe, ale i marginesowych planów wydawniczych w tym zakresie. Agnieszka Córka Kolumba Macha, Pasierbowie i Odyniec Putramenta stały się ostatnimi bestsellerami. Szerokim frontem wchodzą w wypożyczenia czytelnicze książki Żukrowskiego, Hena, Hołuja, Czeszki, Sujkowskiego, Paukszty, Grzesiuka, Patkowskiego i innych polskich pisarzy, których nie sposób wymienić.

Naturalnie, pewna ilość abonentów naszych bibliotek zostaje przy Dumasie, Rodziewiczównie, Kraszewskim. Poważna większość odchodzi jednak do prozy współczesnej, odchodzi dzięki własnym procesom rozwojowym, dzięki wysiłkom prasy, radia, bibliotekarzy, telewizji. Nie dyskwalifikując drugorzędnej literatury dawnej, musimy cieszyć się z zaobserwowanych zmian, współczesna proza bowiem ukazuje nowe sprawy i nowych ludzi, ułatwia zrozumienie konfliktów społecznych, budzi zainteresowanie problematyką polityczną i moralną naszych czasów.

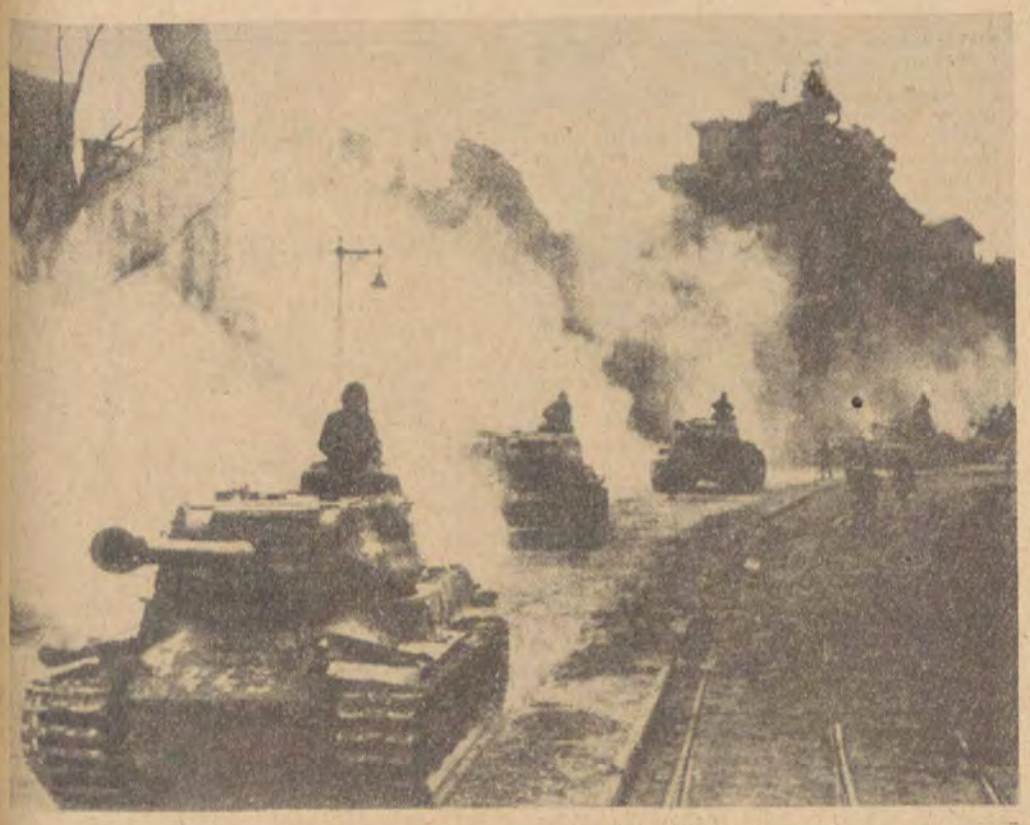

Czołgi radzieckie na ulicach Berlina.

OSTATNIE DNI

„Upływa dwudziesta rocznica pamiętnego dnia 9 maja 1945 roku, gdy pod decydującymi ciosami Armii Radzieckiej, pod ciosami koalicji antyfaszystowskiej, pod ciosami żołnierza polskiego runęło ostatecznie hitlerowskie imperium zbrodni".

(Z rozkazu Ministra Obrony Narodowej na dzień 20-lecia zwycięstwa).

*

8 marca 1944 roku, 2500 samolotów alianckich zrzuciło na Berlin, w ciągu jednej tylko nocy, 350 000 bomb zapalających i 10 000 ciężkich bomb burzących. W kwietniu 1945 r. 2 000 000 żołnierzy radzieckich, 22 000 armat różnego kalibru, 6 000 czołgów i 7 000 samolotów radzieckich zaatakowało stolicę hitlerowskich Niemiec. Dla mieszkańców Berlina zbliżał się koniec wojny. Zrujnowane miasto przedstawiało apokaliptyczny widok. 16 kwietnia 1945 r. o godzinie 5 rano wojska radzieckie forsują Odrę i, setkami reflektorów oślepiając niemieckich żołnierzy, niszczą ostatnie punkty oporu Wehrmachtu na przedpolach Berlina. 21 kwietnia zgrupowanie rosyjskiej artylerii, dowodzone przez majora Ziutkina, oddaje w Berlinie pierwszą salwę z katiusz.

23 kwietnia oddziały radzieckie wkraczają do Berlina i zajmują przedmieście Pankow. W tym momencie dzieli je od Hitlera, zamkniętego w kancelarii na Vosstrasse, zaledwie sześć kilometrów. 25 kwietnia rano kleszcze wojsk radzieckich zaciskają się szczelnie wokół całego miasta. Trzy miliony otoczonych berlińczyków nie wierzy już w możliwość utrzymania miasta. Brak wody, odcięty dopływ prądu, zapasy żywności wyczerpane, bez widoków jakiegokolwiek zaopatrzenia z zewnątrz. W trzech gigantycznych bunkrach: w Tiergarten, Humboldthein i Friedrichshein chroni się 30 tysięcy mieszkańców płonącej stolicy. Inni tłoczą się w tunelach metro i piwnicach domów. A wszyscy znajdują się w centrum ogromnego pożaru, jakby w oku cyklonu.

Podczas gdy Berlin płonie, a wojska radzieckie coraz bardziej zbliżają się do centrum miasta, Hitler nie opuszcza bunkra i wciąż czeka na cud. Wreszcie, gdy Rosjanie są już całkiem blisko kancelarii Rzeszy, Hitler wychodzi po raz ostatni z podziemia, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i obejrzeć ruiny swojej kancelarii. W kilka dni później w politycznym testamencie wyraża całą swoją nienawiść do ludzkości, naznacza admirała Doenitza swoim następcą i ginie, strzelając sobie w usta.

W miarę jak wojska rosyjskie zbliżają się do centrum, bitwa przybiera na zaciętości. Wojska SS, Hitlerjugend i niedobitki Wehrmachtu umacniają się na stromych brzegach Landwehr-Kanal i w Tiergarten. Tu mają miejsce dwa epizody: na Kolonenstrasse czterystu chłopców z Hitlerjugend przypuszcza beznadziejny szturm na wojska radzieckie, które z kolei, pragnąc uniknąć rzezi, usiłują ich rozbroić. Nieco dalej, podczas ataku na Landwehr-Kanal radziecki sierżant Massałow, ryzykując własnym życiem, wynosi z linii ognia trzyletnie dziecko niemieckie, ratując je od pewnej śmierci.

*

25 kwietnia, o godz. 16.40 na zburzonym moście Torgau, na Elbie, czołowe oddziały 69 amerykańskiej dywizji piechoty pod dowództwem por. Robertsona spotykają się z przednimi oddziałami 58 radzieckiej Dywizji Gwardyjskiej, dowodzonej przez por. Selwaszko. Spotkanie następuje w odległości zaledwie 110 km na południe od Berlina. Po upływie najbliższych godzin alianci ze Wschodu i z Zachodu spotykają się na całej długości Elby.

W ciągu czterech miesięcy nieustannych walk Armia Radziecka doszła aż do centrum hitlerowskich Niemiec. Rozpoczęte 12 stycznia 1945 roku ofensywy radzieckie, odciążające Amerykanów zagrożonych niemieckim uderzeniem w Ardenach, rozgromiły wojska hitlerowskie w Prusach, na Pomorzu, w Polsce i na Bałkanach.

Na całej długości linii kontaktu wojsk radzieckich i zachodnich sojuszników zapanował pokój, choć na innych frontach toczy się nadal krwawa wojna. Amerykanie i Rosjanie wymieniają między sobą odznaczenia, papierosy i wojenne trofea. Spotkaniom i toastom nie ma końca. 27 kwietnia Churchill, Stalin i Harry Truman, który przejął

prezydencki fotel po niedawno zmarłym Roosevelcie ogłaszają oficjalnie całemu światu, o spotkaniu się na Elbie armii sojuszniczych ze Wschodu i z Zachodu.

*

Końcowy atak wojsk radzieckich rozpoczyna się 30 kwietnia o świcie. Hitler wciąż jeszcze żyje. Podczas gdy lotnictwo radzieckie ostrzeliwuje z broni pokładowej gniazda nieprzyjacielskiego oporu, piechota i czołgi zdobywają każdy gmach, każdy urząd. Przeciw Reichstagowi, przemienionemu w potężne umocnienie, Rosjanie grupują 89 dział na każde 200 metrów frontu. 1 maja o świcie ta silna twierdza w samym środku miasta zostaje zdobyta. Sierżant Michaił Jegorow i sierżant Meliton Kantaria osadzają czerwony sztandar na frontonie Reichstagu. W tym momencie mija 12 godzin od śmierci Hitlera i Ewy Braun. Goebbels, zaryglowany w bunkrze kanclarii, o niecałe tysiąc metrów od powalonego Reichstagu, żyje jeszcze, ale wraz z żoną i sześciorgiem dzieci przygotowuje się do niesławnej śmierci.

W ostatnich tygodniach wojny nad hitlerowskimi Niemcami rozpętało się istne piekło. Hitler, Goebbels, Goering i Himmler podejmują zbrodniczą decyzję: odrzucają kapitulację, mimo beznadziejnej sytuacji, wierząc, iż „w ostateczności dogadają się" z zachodnimi aliantami i wspólnie wystąpią przeciwko ZSRR. Więc przedłużają swoją wojnę, mobilizują starców i dzieci w wieku od 13 do 16 lat. Hitler ogłasza pospolite ruszenie. Volkssturm, rozkazując cywilom walczyć aż do śmierci w obronie miast i wsi, których ani Wehrmacht, ani SS bronić już nie są w stanie. Przywódcy nazistowscy rozkazują „volkssturmowcom" nosić na ramieniu opaski, podobnie jak nosili je bojownicy z ruchu oporu w krajach okupowanych, których rozstrzeliwano, deportowano i kwalifikowano jako „bandytów"! Cywile w opaskach... Byłym kombatantom, gospodyniom domowym i dzieciom dowództwo SS rozdaje swój ostatni sprzęt bojowy: panzerfausty. Rozdzielono je w stosunku 6 sztuk na 10 osób, resztę uzbrajano w bagnety i stare karabiny Lebela, zrabowane we Francji. Wbrew przewidywaniom Hitlera, Volkssturm nie stawia prawie oporu, a Rosjanie szybko znajdują sposób na panzerfausty: worki z piaskiem, które układają na czołgach.

9 maja 1945 roku o godzinie 0.00 Wehrmacht kapituluje. Ustają walki na wszystkich frontach. W ostatnim komunikacie niemieckich sił zbrojnych czytamy m. in.: „O północy wszędzie umilkł szczęk broni. Na rozkaz wielkiego admirała, Wehrmacht przerwał działania wojenne, które już nie mają sensu..."

Całe terytorium Niemiec zostało okupowane przez zwycięzców.

*

...Żukow wstaje, zwraca się do oficerów stojących przy drzwiach i mówi sucho:

— Proszę wprowadzić niemiecką delegację.

Wchodzą Keitel, Friedeburg i Stumpff, za nimi ich adiutanci. Keitel zatrzymuje się przed stołem dla delegacji niemieckiej, oddaje honory buława. Siada. Friedeburg i Stumpff siadają obok niego. Adiutanci stoją za nimi. Żukow wstaje i mówi kilka słów. Tłumacz przekłada je na niemiecki. Keitel aprobująco skłania głowę. Następują formalności proceduralne.

Przy głównym stole rozpoczyna się sygnowanie dokumentu. Podpisuje najpierw Żukow, następnie Tedder, Spaatz i wreszcie de Lattre. Keitel czeka na swoją kolejkę. Siedzi prosto i nieruchomo.

Żukow mówi:

— Delegacja niemiecka została wezwana żeby podpisać akt bezwarunkowej kapitulacji.

Keitel daje do zrozumienia, że wie o co chodzi i gestem prosi o przedłożenie mu dokumentu do podpisu. Lecz Żukow wskazuje stół, przy którym siedzą alianci i mówi twardo:

— Tam proszę podpisać.

Keitel wstaje, zbliża się, siada przy stole, zdejmuje rękawiczkę i podpisuje kilka egzemplarzy aktu kapitulacji, po czym wraca na swoje miejsce. Po nim składają podpisy Stumpff i Friedeburg. Keitel patrzy na aliantów z takim napięciem, że widocznie nawet nie zdaje sobie sprawy, iż ręka, którą trzyma przy twarzy gniecie z siłą podbródek i policzki.

— Delegacja niemiecka może opuścić salę — mówi Żukow.

Niemcy wstają. Keitel oddaje honory buława marszałkowską, odwraca się i wychodzi. Za nim wychodzą pozostali członkowie delegacji. Drzwi się zamykają. Kapitulacja podpisana. Wojna jest skończona.

*

Minęło 20 lat od dnia kiedy pod naporem Armii Radzieckiej, wojsk koalicji antyhitlerowskiej runął zbrodniczy gmach faszystowskiego państwa niemieckiego. Dzień ten uroczyście czczony przez narody Europy, stał się okazją do manifestacji woli pokój miłujących krajów, zjednoczonych we wspólnym wysiłku zapobieżenia nowym awanturom wojennym, o których marzą militaryści zachodnioniemieccy i ich imperialistyczni poplecznicy.

Rewizjoniści z Bonn nie chcą wyciągnąć wniosków z lekcji historii, jaką była druga wojna światowa. Przekształcili oni swoje państwo w forpocztę awanturniczej strategii antypokojowej. Ale sytuacja w świecie współczesnym różni się zasadniczo od tej, w której hitlerowcy wzniecili pożogę wojenną. Istnieje potężny światowy system socjalistyczny i on wywiera decydujący wpływ na układ stosunków międzynarodowych. On stanowi główną przeszkodę na drodze realizacji imperialistycznych planów rozpętania nowej wojny światowej i ujarzmienia narodów. Niechaj milionowe manifestacje ludności w 20 rocznicę rozgromienia hitleryzmu staną się przestrogą dla tych, którzy niepomni losu III Rzeszy, pragnęliby zakosztować laurów sławy wojennej.

S.

POLACY w BERGERAC

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Po roku nierównych walk kończyło się powstanie, rozpoczęte listopadowym szturmem podchorążych na namiestnikowski Belweder. W pierwszych dniach października 1831 roku ponad dwadzieścia tysięcy żołnierzy i oficerów przekroczyło granicę Prus pod Brodnicą, uchodząc przed zemstą cara. Tysiące z nich, zaagitowanych przez generała Bema, ciągnie na zachód — we Francji generał zamierza stworzyć nowy korpus polski.

Senat Frankfurtu uchwala pokaźną zapomogę dla wychodźców. „Połowa miasta zwariowała całkowicie z powodu tych Polaków. Nie poznałbyś miasta"... pisze do Goethego jego przyjaciółka, Zulejka. „Place aux dames, et gloire aux Polonais!" (miejsce dla dam, chwała dla Polaków) — mawiają Francuzi i porzekadło to słyszy się w południowych departamentach Francji jeszcze w kilkadziesiat lat później, gdy wszyscy zapomną już nawet skąd wzięło początek.

Rząd Ludwika Filipa traktował Polaków początkowo jak internowanych żołnierzy, później — na interwencję cara — przekazał ich spod władzy ministerstwa spraw wojskowych — władzom policyjnym. Tak samo w sto lat później postąpią alianci z żołnierzami polskich jednostek na Zachodzie. Osadzeni w obozach i koszarach Polacy buntowali się i niejednego kłopotu przysparzali terenowym notablom.

„Niech żyje Republika! Śmierć królom!" — wołali, wchodząc przemoczeni i zdrożeni do miasteczka Bergerac, gdzie właśnie zwolniły się koszary po innych uchodźcach — Hiszpanach, którym śmierć Ferdynanda VII umożliwiła powrót do ojczyzny. Podprefekt Taillefer, urzędnik — przecież — królewski, nie mógł nie zanotować tych buntowniczych okrzyków.

„Wśród oficerów wyróżniał się pułkownik Rosłakowski, który dowodził oddziałem Polaków podczas przemarszu z Besancon do Bergerac. Cieszy się on autorytetem wśród Polaków i zachowuje się tak, jak gdyby sprawował jakąś władzę — pisał Taillefer do prefekta Scypiona Mourgue, rezydującego w Perigueux. — Stawił się przede mną i stwierdził, że dla dokonania przeglądu byłoby wskazane, abym przywdział mundur. Uwagę swoją uczynił w słowach mało uprzejmych, co muszę przypisać słabej znajomości języka francuskiego".

„Tłumacz, którego wczoraj zaakceptował dziś im się nie podobał: nie chcieli go uznać. Gdyby byli go zdecydowanie odrzucili — zmuszony byłbym zaprotestować z miejsca przeciw takiemu postępowaniu.

Otaczając Polaków wszelkimi należnymi w ich sytuacji względami, zachowując szacunek dla ich nieszczęścia, musimy jednak żądać, aby podporządkowali się zarządzeniom władz.

Uważam, że jedynym sposobem zmuszenia panów uchodźców do zjawienia się przed komisją weryfikacyjną będzie decyzja skreślenia z listy żołdu jeszcze w bieżącym miesiącu tych wszystkich, którzy nie zgłoszą się do weryfikacji. Komendant Ribet otrzymał polecenie oficjalnego ogłoszenia tej decyzji.

Proszę pana o upoważnienie mnie do wykonania decyzji komisji na wypadek, gdyby obwieszczenie komendanta nie spowodowało stawienia się oficerów.

Dziś komisja mogła zweryfikować zaledwie siedemnastu internowanych oficerów, żaden z pozostałych nie chciał się zjawić przed nią. Posiedzenie otwarto kwadrans przed jedenastą a zamknięto o czwartej. Zajście z tłumaczem miało miejsce przed dwunastą".

Ostatecznie stosunki pomiędzy Polakami a administracją były dalekie od poprawnych; przeciwnie pogarszały się tak, że p. Taillefer, mimo sympatii, jaką żywił dla uchodźców, musiał odetchnąć z ulgą, gdy minister spraw wewn., d'Argout, zarządził na dzień 28 kwietnia (1833) częściową likwidację obozu w Bergerac. Na cztery dni przed tą datą wymarszu części oficerów z obozu, zaszedł jednak nowy wypadek.

„Trybuna", dziennik miejscowy, opublikowała właśnie gwałtowną diatrybę przeciw niektórym deputowanym w związku z projektem fortyfikacji Paryża i jeden z zaatakowanych, p. Viennet, zażądał od Izby skazenia redaktora na trzy lata więzienia, 10.000 fr. grzywny i koszty procesu.

Natychmiast otwarto subskrypcję: polscy oficerowie z Bergerac zakrzątnęli się również koło zbiórki i zebrali 23 franki. Nie byłoby w tym nic złego, ale — wysyłając swe 23 franki do dziennika — wpadli na niefortunny pomysł dołączenia do nich listu, podpisanego przez pułkownika Rosłakowskiego; pułkownik nie oszczędził tam nawet rządu Ludwika Filipa:

„Tajni agenci w obozie — pisał pod adresem rządu francuskiego — kaptują naszych ludzi, chcąc ich wygnać pod palące słońce Afryki, a jednocześnie od czterech miesięcy zabrania się wylądować we Francji polskim żołnierzom, wysadzonym na wyspie d'Aix. O braciach naszych uwięzionych w pruskich fortecach, najzwyczajniej zapomniano.

My tutaj, rozsiani po obozach i małych, prowincjonalnych miejscowościach, skrępowani przepisami, nie możemy się oddalać nawet na parę mil od miejsc naszego pobytu. Pozbawieni naszych książek, pomocy naukowych — przebywamy w warunkach mało różniących się od tych, w których znaleźli się nosi bracia, rzuceni na pustkowia Syberii. Nasi rodacy włóczą się po gościńcach ze złoczyńcami i włóczęgami. Ani paszporty, ani prawa obywateli francuskich nie bronią ich bezpieczeństwa: więzienia są pełne Polaków, członkowie Komitetu Narodowego zostali wygnani z Paryża na żądanie rosyjskiego ambasadora. Nawet na waszych łamach obraża się nas, przypisując nam sprzysiężenia i spiski".

Ten pełen goryczy list wysłany został prawdopodobnie po to, aby skłonić ministra spr. wewn. do odwołania decyzji co do dyslokacji oficerów z obozu w Bergerac. Zresztą sama ludność miasteczka wysłała piękną petycję do podprefekta o odwołanie dyslokacji jako szkodliwej dla interesów miejscowych!

Wszelkie zarządzenia były już jednak wydane: przewidziano sformowanie dwóch kolumn oficerskich, jedną przeznaczoną do Mont-de-Marsan, drugą do Dax et Saint Sever. W Bergerac mieli zostać tylko szeregowi i kilku „stopniowych". Nie przewidziano jednak teatralnej scenki, jaka rozegrała się 28 kwietnia, a więc w dniu zamierzonego odmarszu kolumny do Mont-de-Marsan. W momencie odmarszu delegacja internowanych wniosła do podprefektury protest przeciwko zarządzeniu o dyslokacji oficerów z prośbą o niezwłoczne przekazanie go ministrowi spr. wewn. i z zapowiedzią, że kolumna nie opuści Bergerac przed otrzymaniem odpowiedzi ministerialnej. Podprefekt odmówił przekazania pisma, uważając je za utrzymane w niewłaściwym tonie, wobec czego delegaci zdecydowali się wysłać swych reprezentantów wprost do ministra i poinformować o tym prefekta, p. Scypiona Mourgue, któremu przesłali w dodatku kopię oskarżycielskiej notatki, ogłoszonej 24. IV. w „Trybunie".

3 maja nadeszła ze stolicy odpowiedź, zaadresowana do płk. Rosłakowskiego i kończąca się uprzejmą prośbą o wskazanie kraju, do którego pułkownik chciałby się udać, gdyż we Francji dłużej pozostać nie może.

Rosłakowski nie skapitulował, kolumny nie wymaszerowały, a Taillefer znowu pisał do swego prefekta:

„Wszyscy oficerowie i żołnierze polscy są pod wielkim wpływem płk. Rosłakowskiego i podporządkowują się całkowicie jego woli. Tylko konkretną, realną siłą można by coś wskórać.

Codzień mój gabinet jest nachodzony przez tłum oficerów, którzy żądają wypłaty żołdu. Odpowiadam wszystkim: „bierzcie swe rozkazy wymarszu, a natychmiast zapłacę". Nikt nie korzysta z tego zaproszenia. Jutro będziemy mieć pewność, czy opór będzie się przedłużał".

Następnego dnia, 4. V. p. Taillefer miał już tę pewność: na 67 zapisanych oficerów, jeden jedyny zgłosił się po swój rozkaz wymarszu.

Wtrąciły się w to miejscowe pisma: gdy „Le Memorial de la Dordogne" ganił niewdzięczność uchodźców i martwił się ich republikańską, antyrządową egzaltacją, „L'Echo de Vesone" obciążało odpowiedzialnością podprefekta a dystansowała ją jeszcze „La Gazette du Perigord", która nie lubiła p. Taillefer.

Krótko mówiąc sprawy zaszły tak daleko, że trzeba było, dla przywrócenia porządku, zaapelować do sił zbrojnych: w sobotę, 11. V. płk. Lebeau, przybyły z Perigueux na czele półtora batalionu 57 pułku (600 ludzi w pełnym oporządzeniu), wkroczył do Bergerac. Akurat w momencie, gdy dyliżansem pocztowym nadjechał — również z Perigueux — prefekt Scypion Mourgue, a z nim marszałek Gossart, dowódca dywizji, w towarzystwie szefa szwadronu żandarmerii i swego adiutanta. Zaraz po przybyciu, o pierwszej rano, płk. Lebeau polecił żołnierzom otoczyć koszary Polaków i kwaterę płk. Rosłakowskiego.

W miasteczku zawrzało jak w ulu — przemarsz 600 ludzi nie mógł przecież pozostać niezauważony. Przestraszeni nie na żarty Polacy usiłowali uciekać poprzez ogrodzenie koszar — wyobrażali sobie, że chce się ich schwytać i wywieźć do Afryki. Z drugiej strony — żołnierzy płk. Lebeau poniosły nerwy, chwycili się bagnetów i kilku Polaków zostało lekko zranionych. Mocne ogrodzenie koszar nie pozwoliło oblężonym rozbiec się po okolicy. Ale jak dosięgnąć Rosłakowskiego i wyekspediować go poza miasto? O godz. 8 nakazano mu zjawić się na placu. Po godzinnym namyśle usłuchał wreszcie i zbliżył się do prefekta i generała, aby im powiedzieć, że pragnie być przewieziony do Belgii. Niezwłocznie wsadzono go do dyliżansu powierzając opiece porucznika żandarmerii, de Langlade, podczas gdy ludność, która uwielbiała Polaków, zgromadziła się przed budynkiem podprefektury, aby urządzić kocią muzykę biednemu panu Taillefer. Na szczęście płk. Lebeau czuwał. Zgromadził swój batalion na placu, przemówił i pogroził „motłochowi". Potem krzyknąwszy „Niech żyje król" i zaintonowawszy Marsyliankę, którą jego wojacy chórem podjęli, rozkazał nabić broń, aby świst pocisków stał się „kalafonią na skrzypce przeklętego rejwachu".

Obywatele Bergerac ulotnili się co żywo, nie czekając na przydział „kalafonii", a płk. i jego batalion rozłożyli się biwakiem na placu jako zwycięzcy, w pełni chwały. Pan Taillefer mógł przypuszczać, że wreszcie porządek zostanie przywrócony. Rzeczywiście 13, 14 i 15 maja przeprowadzono, zgodnie z planem, wymarsz oficerów. Było jeszcze kilka demonstracji tłumu, sympatyzującego z internowanymi, było kilka zbiegowisk, ale w sumie 15 maja wieczorem, pan Mourque mógł wrócić do Perigueux; w cztery dni potem wrócił też płk. Lebeau, który jednak — dla ostrożności — pozostawił 300 ludzi w Bergerac.

O ile na ulicach zapanował spokój, o tyle burzyły się nadal umysły, podekscytowane złośliwymi artykułami w miejscowej prasie, zgodnie sympatyzującej z Polakami, natrząsającej się z płk. Lebeau, prefekta, podprefekta, a uważającej sławnego płk. Rosłakowskiego za męczennika wolności.

Echa owych sławetnych manifestacji dotarły nawet do Paryża, gdzie naturalnie deputowani podnieśli wielką wrzawę. 18 maja, w Izbie Deputowanych, La Fayette nie darował tak wspaniałej okazji, aby nie wnieść interpelacji i minister spraw zagranicznych musiał sobie zadać wiele trudu, aby przedstawić we właściwych proporcjach pacyfikacyjną ekspedycję płk. Lebeau i jego sześciuset piechurów.

Zabrał również głos płk. de Garraube, deputowany z okręgu Linde (Dordogne). Podtrzymując stanowisko rządu, określił Polaków jako buntowników, którzy — odkąd przybyli do Bergerac — nie okazali wdzięczności dla króla Francuzów, krzyczeli „niech żyje Republika", i przebywali najchętniej w towarzystwie miejscowych opozycjonistów.

Gwałtowne wystąpienie płk. Garraube przeciwko Polakom wywołało poruszenie w Dordogne. „Gazeta" ogłosiła 16. VI. energiczny protest 395 szlachetnych obywateli Bergerac, których podpisy zostały uwierzytelnione przez mera. Rozgorzała polemika, w której wzięli udział zarówno płk. Garraube jako obrońca stanowiska ministerialnego, jak i pewien „Artylerzysta z Bergerac", obrońca sprawy wygnańców:

„Niech p. de Garraube pozwoli sobie powiedzieć — pisał ów Artylerzysta — że Bergerac nigdy nie było tak spokojne jak za krótkiego pobytu oficerów polskich w jego murach; jeśli ten spokój został zakłócony, to niech pan poseł z Linde ma o to pretensję do pana d'Argout, do prefekta Scypiona i pana podprefekta, którzy uruchomili potężną maszynę siły zbrojnej bez potrzeby, wyłącznie z ambicji przeprowadzenia „kampanii"; wreszcie, do pana płk. Lebeau, którego „kalafonia" i inne niezbyt miodowe słówka nie nadawały się na pewno do uspokojenia umysłów i utrzymania porządku".

Aby przeciąć tę polemikę, rząd uznał za właściwe dać niejaką satysfakcję opozycjonistom: podprefekt Taillefer został już 22. V. przeniesiony do Narbonne, w lipcu — przeniesiono prefekta Scypiona do Haute — Vienne, zmieniono mera i jego zastępcę, komendant Ribet został zwolniony ze służby. Tylko dzielny płk. Lebeau pozostał na placu w Perigueux, odparowując raz po raz zaczepki licznych obrońców Polaków.

22 czerwca w podprefekturze w Bergerac zaczął urzędowanie — jako następca pana Taillefer — sekretarz generalny Haute — Garonne, Marre. Okres wzburzenia wydawało się, że minął, gdy nagle w sierpniu zaszedł nowy wypadek. Minister spraw wewn. zwolniwszy ze służby Ribeta, powołał na komendanta pozostałej jeszcze reszty obozu internowanych płk. Podczaskiego. Podczaski — były oficer Cesarstwa — był przedtem komendantem obozu w Bourges. Wybór nie podobał się wygnańcom. Wystosowali oni do podprefekta petycję podpisaną przez 180 mieszkańców obozu, w której żądali usunięcia Podczaskiego. Przyjęto go zresztą w obozie całkiem źle: gdy tylko zjawił się w koszarach w towarzystwie nowego podprefekta, pana Marre, rozległy się obraźliwe okrzyki, a w bramie od tego dnia buntownicy ustawili czujkę, która miała nie wpuszczać do obozu oficerów, zaprzyjaźnionych z Podczaskim.

Podprefekt Marre doniósł niezwłocznie o wszystkim nowemu prefektowi, Romieu, sugerując energiczne sankcje co zostało też natychmiast, 22. VIII. przekazane do akceptacji ministrowi spraw wewn., Już 26. VIII. odpowiedział minister:

„Pański raport z 22 obrazuje szczegółowo sprawę Bergerac. Mogę tylko pochwalić stanowczość podprefekta i pańską decyzję udania się do Bergerac, gdy tylko pańska obecność okaże się tam niezbędna. Obóz musi być rozwiązany. Jednakże, nieoczekiwane wykonanie tej decyzji i rozdzielenie internowanych spowoduje trudności, które doceniam. Wystarczy więc oddalić 180 sygnatariuszy protestu, złożonego podprefektowi, winnych temu, że żądali usunięcia komendanta, mianowanego przez rząd i obdarzonego zaufaniem władz. Muszą oni być przeniesieni do innych obozów, a w razie stawienia oporu — wydaleni z królestwa.

Zmuszony jestem uciec się do odpowiednich środków wykonawczych, z których tylko siła zbrojna może zapewnić szybkie powodzenie akcji: Proszę po odpowiednim przygotowaniu i wydaniu zarządzeń działać energicznie i bez wahań. Trzeba skończyć z buntownictwem. Proszę mnie bieżąco informować o wszelkich zajściach, jakie mogą się jeszcze zdarzyć. Wskażę Panu departamenty, po których należy rozrzucić 180 sygnatariuszy rezolucji. Żołnierzy, których trzeba będzie wydalić poza kraj, skieruje Pan do Belgii, a oficerów do najbliższego portu, skąd powinni być przetransportowani do Anglii".

Minister dorzucił jeszcze własnoręcznie:

„Należy w każdym razie wydalić z Francji tych uchodźców, którzy podczas wizyty podprefekta wznosili obelżywe okrzyki. Tak samo tych, którzy zamierzali wykluczyć z koszar nieuznawanych przez siebie oficerów. Niech Pan każe wyszukać tych osobników ze szczególną troskliwością. Otrzyma Pan jutro wykaz miejsc, do których winien Pan kierować sygnatariuszy petycji. Co do reszty obozu — rozpędzimy go w jak najszybszym czasie".

Rzeczywiście 18. V. minister zdecydował rozwiązać definitywnie obóz. Najbardziej uciążliwi jego mieszkańcy zostali wydaleni poza granice Francji, z pozostałych — 60 wysłano do Gers, 60 do l'Aude, 95 — do małych miejscowości w okręgu Dordogne, grupkami, po ośmiu. Tylko dwunastu ostało się w Bergerac — ostatni ustatkowani już świadkowie heroicznej epoki pułkownika Rosłakowskiego i podprefekta Taillefera.

Francuska poezja miłosna

RAYMOND QUENEAU

tłum. Jerzy Waleńczyk

* * *

Si tu t'imagines

Trochę wyobraźni,
Trochę wyobraźni,
Mała dziewczynko,
Czy widzisz odjazdy,
Minione przyjaźnie
I czas miłości I
Czas miłości I,
Ignorancja piękna,
Jakiż to błąd, maleńka.

Wierzysz ach ach,
Jeśli wierzysz naiwnie,
Różowy kompleks,
Twe gniazdo os,
Anatomia śliczna,
Paznokieć szkli się.

Biodra nimfy,
Lekkość nóg,
Choćby na ukos,
Nie dogonię nigdy.
Ignorancja piękna,
Czasu błąd, maleńka.

Piękne mijają dni
Planetarnych orbit.
Moja maleńka,
Przed tobą Omega,
Coś, czego nie dostrzegasz.

Okrutnie wiotczeją mięśnie,
Ciężar ciała tylko,
Zmarszczek słodycz to,
Dobra i w grudniu chwilka
Tu, tu na łonie
Egzystencji róże,
Podnieś, podnieś.
Spokojne morze.
Szczęście dogonię.

Zróbmy to dziś jeszcze,
Świadomość piękna,
To nie błąd, maleńka.

PIERRE REVERDY

STOISKO Z KWIATAMI NA QUAI

O, piersi zgrabnie,
Nie będzie więcej zimy
W jeziorze gdzie pływacie.
Łaknąć

I
Wokół brzegów
Idzie; tak lekki strój,
Zaśmieję się zimna
W złych ludzi tłum,
Piersi nieporuszone,
Tu wargi, tu.
Oczy czuwaniem gasną.

Ten pan elegancki,
Oczy rzucają spryt,
Mała, dobrze się znamy.
Ciała ludzkie udają,
Uprawiasz czary,
Froterko, froteruj bulwary.

Nogi, ho, ho, ho
Cóż pozostało dzisiaj,
A taniec gdzie, gdzie śmiech?
Odwrócona twarz.
Kto dziś naruszy twój sen?

Interpunkcja jest innowacją tłumacza.

JERZY PORADECKI

Czy silva rerum?

Nie dałem się przekonać Czernikowi, że to tylko „zbiór uwag, głos, zalążków prozy lub poezji, nie wykończonych zestawień itp..." (str. 5). Czytałem „Zachód słońca", wbrew wstępnym zastrzeżeniom autora, jako książkę pełnowartościową, zupełnie samoistną a nie „uporządkowane remanenty" pisarza, który dostrzegł już swój „zachód". Nie szukałem w niej materiałów biograficznych, ciekawostek wspomnieniowych itd. itp. i myślę, że kto posłucha autora, nie dotrze do szczególnych wartości jego dzieła. Luźna budowa „zbioru" niewiele ma wspólnego z „nowo odnalezionymi fragmentami poety X". Całość jest wyraźnie przemyślana i uporządkowana. Może poza „Dziennikiem rumuńskim" — moim zdaniem odbiegającym od pozostałych partii książki — przez „Zachód słońca" stale się przewija jeden motyw rozwijany na różnych płaszczyznach, w kontekście różnych sytuacji. Jest nim ciągłe współistnienie, współzależność wspomnień (przeszłości) i teraźniejszości, kultury i przyrody.

Notatki z lat 1940—45 spędzonych na emigracji w Rumunii a później w Algierze od razu wprowadzają w główny nurt prozy Czernika.

„I oto jakiś powrót do „starego świata", do pospolitego bytowania sprzed wojny. Oczywiście, był to tylko „jakiś powrót", daleki od istotnego powrotu, który nie mógł nastąpić, gdyż zjawisko cofniętego czasu zdarza się tylko w wyobraźni." (str. 15).

To jest pierwszy punkt zaczepienia. Czernik co prawda wstydzi się, że w obliczu wielkiej klęski ucieka często do wspomnień, że kawałek trawnika przypominającego Polskę przysłania mu ponure wieści z frontu. Nie jest pewien, czy można o tym pisać. Ale jednocześnie ukazuje żelazne wymagania ludzkiej psychiki. Te chwile „słabości", starannie ukrywane przez autora, u innych bohaterów książki przybierają formę zgoła odmienną. U osób niezdolnych przyjąć zmianę sytuacji przeradzają się w anachroniczne celebrowanie przedwojennego „sposobu bycia".

Relacja wspomnienie-teraźniejszość przybiera często inną formę. O ile w poprzednim przypadku wspomnienie było ucieczką przed rzeczywistością, choćby we fragmencie mówiącym o lekturze polskiej książki, wspomnienie zostaje zdegradowane przez rzeczywistość. Nie jest czynnikiem uspokajającym, lecz przeciwnie — rozdrażniającym. Podobną reakcję często budzą w autorze ludzie, którzy mimo wojny, w swoim zachowaniu pozostali „przedwojenni".

Do wspomnianej relacji przeszłość-teraźniejszość włącza się czynnik nowy — kultura. Wspomniany już epizod z książką, próby pisarskie autora, przypomnienie Mickiewicza (Marsylia) ukazują jeszcze jedną determinantę losu emigranckiego.

Kultura bardziej niż oba poprzednie wyznaczniki dotyczy losu narodu niż indywiduum. Znamienna dla wspomnień algierskich jest opowieść o walce o szkołę polską rozgrywająca się w dość ponurym miejscu, bo na „Przylądku Zbiegów". Ale i jednostka ciągle do kultury sięga. Na tym terenie odbywa się walka o własną narodowość czy też o własną osobowość.

„W tym czasie powstały różne cykle wierszy, wielokrotnie zmieniane, przekształcane, doskonalone. W całej pełni pisałem „sobie a Muzom". (...) Nie pokazywałem — swoim dawnym zwyczajem — tej pisaniny nikomu. Bo też miała ona wartość jedynie dla mnie." (str. 56)

„...coś nieznośnego jest w polskiej poezji emigracyjnej, a ściślej mówiąc, londyńskiej. Smakuje jak papieros nadziany pleśnią.

Jakiś fałsz! No, bądźmy sprawiedliwi, nie wszędzie. A jednak to co nadaje tak zwany ton, poziom, jest znane, czytane, recytowane" (str. 114).

I ostatnia sprawa, może najbardziej właściwa Czernikowi — żywioł przyrody. Nie jest ona tłem, nie jest nawet czymś odrębnym, samoistnym. Przenika całą rzeczywistość i tą dawną, i tą obecną, a nawet kulturę. Kartki z „Piątej jesieni" poświęcone mrówkom, muchom, pleśni, należą do najlepszych w tej książce. Przyroda inicjuje pracę wyobraźni, wywołuje wspomnienia, pobudza do refleksji, sama staje się znaczącą rzeczywistością często symbolem poczynań człowieka. Zabrzmiało to nieco przesadnie, ale naprawdę nie ma u Czernika strony, gdzie nie wcisnęłaby się we wszelkie ludzkie sprawy.

„...zdaje mi się, że różne wysepki pleśni w moim pokoju urządziły koncert chóralnych przechwałek podczas trzęsienia ziemi połączonego z potopem, pożarem i morem.

Pleśń książek: my stoimy na czele, bo żżeramy nieśmiertelnego ducha.

Pleśń łóżka: arystokratyzm nasz najważniejszy, gdyż my atakujemy żywego człowieka, wdzieramy się do krwi, mózgu i płuc.

Pleśń kapelusza: szlachetność zależy od mózgu, nie od liter lub mięsa. My pozostajemy najbliżej siedliska myśli,

Stanisław Czernik w karykaturze Ibis-Gratkowskiego.

nasze przed wami pierwszeństwo." (str. 113)

Wyżej wspomniane relacje przeszłość - teraźniejszość-kultura-przyroda przewijają się, jak już wspomniałem, przez całą książkę. Zwróciłem szczególną uwagę na notatnik algierski, gdyż tam występują one najdobitniej.

„Ze względów bardzo osobistych (...) wybrałem tytuł „Zachód słońca", zapewne najbardziej właściwy dla oznaczenia kolorytu wędrówek zanotowanych w części końcowej." (str. 5).

Trudno się takiemu oświadczeniu przeciwstawić. Nie mogę się jednak pogodzić z postawą autora. Czytałem tę książkę z dużym zainteresowaniem i nie przyszło mi do głowy, że to są „rzeczy tak błahe, zwyczajnościki codziennego życia, refleksje zbyt osobiste, szczegóły do niczego nie przydatne" (str. 127).

Nie dajmy się zasugerować autorowi. Jego obawy trzeba przyjąć jako część składową dzieła, a nie jako próbę jego oceny.

I znów powraca problem — czy „Zachód słońca" to swego rodzaju pamiętnik, notatnik, czy dzieło samoistne. Chyba należy go rozstrzygnąć przeciw autorowi. Bez względu na autobiograficzny charakter notatek jest to książka wykraczająca poza skromne zamierzenia autora, bliższa literaturze niż pamiętnikarstwu.

Stanisław Czernik: Zachód słońca. Zapiski z wędrówek. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1965.

Z notatnika BIBLIOTEKARZA

JANUSZ DUNIN

Nie ma książek nieprawdziwych, są tylko książki mówiące nieprawdę. Czasami zaklinamy książki, które się nam nie podobają powtarzając: Nie istniejesz! Nie istniejesz!

* * *

We wspomnieniach z przedwojennej Łodzi powraca dość często obraz kolejki czekających na miejsce w niewielkiej przepełnionej czytelni przy ulicy Andrzeja 14. Do dyspozycji tych czytelników stał księgozbiór liczący zaledwie ok. 60 tys. tomów. Weź współczesny plan Łodzi — istnieje kilkadziesiąt mniejszych i większych księgozbiorów o charakterze naukowym. Ich zbiory dawno już przekroczyły milion tomów. Biblioteka Miejska i Uniwersytecka posiadają własne gmachy. Słusznie jesteśmy dumni z osiągnięć! Ale również dokonała się nie mniejsza rewolucja w społeczeństwie — coraz więcej osób się kształci, coraz liczniejszych mamy specjalistów, którzy nie potrafią się obejść bez książki. Aniśmy się obejrzeli i znów jesteśmy w tyle za potrzebami — Biblioteka Miejska przed rozbudową nie jest w stanie pomieścić wszystkich chętnych. Zrów czekają czytelnicy na zwolnienie miejsca. Dynamika rozwoju czytelnictwa w Bibliotece Uniwersyteckiej nasuwa myśl, że lada rok stanie się aktualny problem ciasnoty gmachu przy ul. Matejki.

Jeszcze nie zdołaliśmy w pełni nadrobić zaległości — jeszcze mamy w Łodzi stosunkowo najmniejsze nasycenie książką — wyprzedzają nas nie tylko Warszawa, Kraków i Wrocław, ale również Lublin i Toruń. I o tym nie wolno nam zapominać.

* * *

Dziwi mnie trochę zdenerwowanie czytelników, ilekroć zetkną się z tekstem (zwykle poetyckim), którego nie mogą pojąć. Czy gniewać się na twórców z Chin czy Finlandii że piszą w języku dla nas niezrozumiałym. Mają swoich czytelników i dla nich piszą. Poeci piszący w Polsce tacy jak np. panowie J. M. czy S. G. piszą w całkowicie obcym dla mnie języku; ale nie mogę się na nich o to gniewać, przecież mają swoich czytelników. Najwyżej, trochę mi przykro, gdy pomyślę o płaconych przeze mnie podatkach.

(Na marginesie tej sprawy przypomniał mi się pewien dziadek koleżanki mojej córki, który zwykł oglądać cały program telewizji i okropnie denerwował się, że Miś z okienka „jest głupi i nie na poziomie").

* * *

Bibliotekarze są wszędzie: w szkołach i zakładach karnych, fabrykach i domach wczasowych, kopalniach i wioskach — należą do różnych związków zawodowych, podlegają wszystkim ministerstwom. Z dziesiątków siatek płac biorą swe niewielkie zazwyczaj pobory. Mają jednak sprawy wspólne — wszyscy bibliotekarze mogą spotkać się jedynie w pracy Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Nawiasem mówiąc Stowarzyszenie to przygotowuje się do obchodów swego 50-lecia. Zbliża się również półwiecze najstarszego oddziału terenowego — Łodzi. Od blisko pół wieku przewodniczącym jest tu Jan Augustyniak — co jest chyba bezwzględnym rekordem w skali ogólnopolskiej (i to nie tylko w organizacji bibliotekarskiej).

* * *

Potęga telewizji: w dniu po primaaprilisowym widowisku „Trędowatej" już od rana byli w łódzkich antykwariatach liczni klienci poszukujący tej książki.

* * *

Określono kiedyś zamiłowanie do czytania bibliografii jako szczyt czytelnictwa.

Niżej podpisany od lat nosi się z zamiarem napisania rozprawki zatytułowanej „Bibliografia jako poezja". Ileż skojarzeń może nasunąć sam tytuł książki — obietnica tak często niespełniona, albo informacja że dzieło kosztowało ongiś aż 3 ruble 50 kopiejek.

* * *

Ogólnie słyszy się często pogląd, że jesteśmy oderwani od literatury zagranicznej, że nie stać nas na zakup wielu cennych dzieł. Być może nie jesteśmy bogaci, ale również nigdy nie otrzymywaliśmy tyle publikacji zagranicznych co teraz. Przed wojną byliśmy praktycznie odcięci nie tylko od publikacji radzieckich, ale również z krajów zachodnich. Ograniczaliśmy nasze kontakty zwykle na Niemczech i Francji, zasoby zaś literatury anglo-amerykańskiej są w naszych dawnych zbiorach znikome.

Czy to znaczy, że chcę powiedzieć, że stan obecny jest dobry. Świat się rozszerzył i coraz więcej książek trzeba kupować — czy to się komuś podoba czy też nie. Warto jednak pomyśleć o ograniczeniu marnotrawstwa. Książka zamówiona prywatnie (przez znajomych) przychodzi z Paryża w 3 tygodnie — czas realizacji zamówienia przez ORWN PAN dla bibliotek naukowych — około pół roku. Wówczas już owa książka często w ogóle nie jest potrzebna. A oto dalsze przykłady marnotrawstwa — dostarczają ich wystawy księgarń z wydawnictwami importowanymi. Leż tu rzeczy niepotrzebnie za franki, dolary czy marki kupionych jak np. zachodnioniemiecka ilustrowana szkoła ujeżdżania kuców! Nie chcę być źle zrozumiany, może wspomniana książka jest cennym nabytkiem dla księgozbioru hipologicznego — ale o doborze książek powinny decydować rzeczywiste dezyderaty a nie przypadek.

* * *

Zmorą bibliotekarzy jest sposób wyceny książek i sprawa odpowiedzialności za nie. Każdy z nas odczuwa, że zagubienie książki jest innej klasy zjawiskiem niż np. znikniecie stołu lub maszyny do liczenia. Ta prosta prawda nie dociera do niektórych osób. Na wschodzie i na zachodzie zrozumiano, że wartości książek w bibliotece nie da się wymierzyć. Stanowi ona bądź niezbędny element całości księgozbioru i wartość jej rośnie niepomiernie, lub pomimo pięknej oprawy staje się zawalidrogą.

Kradzież książki w bibliotece może być porównana do zabrania cegły z muru budynku — niezależnie od wartości samej cegły powstaje szkoda dla całego budynku szczególnie ta cegła wydarta z jego fundamentów. I o tym należy też pamiętać kiedy mówimy o szkodnikach bibliotecznych.

* * *

Niezrozumiały jest w kraju, w którym ciągle więcej się rodzi czytelników niż książek, upadek Antykwariatu. Książki, o które rozbijano się w księgarniach, czekają miesiącami w antykwariacie. Rzadko tu widać zaglądają bibliotekarze bibliotek powszechnych. Dobrze prowadzony antykwariat powoduje, że grosz wydany na dalsze wydawnictwo nie jest bezpowrotnie stracony. Książka jest kapitałem, który można zrealizować nie tylko á 1 zł. kilogram w składnicy makulatury.

* * *

Nim książka ukaże się na półkach księgarni czy biblioteki jej treść już nie jest ostatnim wyrazem nauki. Dużo lepiej o postępach wiedzy informują czasopisma naukowe. I właściwie ilość czasopism świadczy o stanie bibliotekarstwa. Aby umożliwić lepsze wykorzystanie istniejących czasopism i ułatwić dalszą politykę gromadzenia Okręg Łódzki Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich zainicjował opracowanie katalogu środowiskowego czasopism zagranicznych. Do współpracy przystąpiło na razie 14 bibliotek, które prenumerują blisko 4000 różnych czasopism zagranicznych. Przy okazji można będzie stwierdzić, których z ważnych czasopism Łódź nie posiada wcale a które są kupowane przez dwie lub więcej bibliotek.

* * *

Są wśród ludzi kultury różne podziały, do najsilniej utrwalonych należy rozróżnienie twórców kultury i jej służebników. Anczyc mawiał kiedyś: „Dobrze, że zamiast kiepskim historykiem zostałem dobrym drukarzem". Dziś jednak przy kasie nikt nie pyta czy chodzi o dobrego literata czy kiepskiego księgarza. To może nie budzić entuzjazmu, ale walka z wiatrakami rzeczywistości nie jest dziś w modzie. Trzeba się kręcić jak one chcą. I prawdopodobnie dlatego bibliotekarze często chwytają za pióro nie tylko po to żeby napisać kartę katalogową.

PÓŁKA z książkami

„PITAVAL MAKABRYCZNY"

Pierwszym autorem opracowanych literacko kronik sądowych był prawnik francuski Francois Gayet de Pitaval (1673—1743). Od nazwiska „wynalazcy" przyjęła się następnie nazwa gatunku, w którym na naszym gruncie, już najzupełniej współcześnie celuje Stanisław Szenic, twórca pitavalu: krakowskiego, warszawskiego i Wielkopolskiego. Ostatnio nakładem PZWL ukazała się nowa książka popularnego autora, literackie opracowanie 23 rozpoznanych przez sądy PRL spraw karnych na tle lub w związku z pijaństwem i alkoholizmem. Dla większej przejrzystości autor uszeregował ten przegląd spraw „makabrycznych" w trzy grupy rodzajowe, powtarzające się najczęściej: tragedie rodzinne, bijatyki pijackie oraz piractwo drogowe. Nie wyczerpuje to oczywiście całokształtu zagadnienia, ale też autorowi nie o to chodziło. Zamierzył bowiem książkę o charakterze raczej wychowawczym niż poznawczym, a monotematyczny zestaw spraw pomógł mu w realizacji tych zamiarów: jest to bowiem książka, która musi wstrząsnąć każdym, kto odważy się ją przeczytać, pomimo odstraszających rycin Bohdana Zielońca.

Cennym uzupełnieniem omawianej publikacji jest posłowie pióra prof. dr Jerzego Sawickiego „O niektórych aspektach prawnych nietrzeźwości", a także wyjątki ustawy o zwalczaniu alkoholizmu stanowiące niejako groźne i ostrzegawcze „memento". Szkoda tylko, że art. 23 wspomnianej ustawy zlewa się z tekstem następnych. Trzeba bowiem pamiętać, wbrew przeciwnemu mniemaniu wielu pijaków, że „stan nietrzeźwości w chwili popełnienia przestępstwa stanowi okoliczność obciążającą".

K. F.

Stanisław Szenic: „Pitaval makabryczny, czyli sprawy pijackie", Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich 1965 r., str. 266, cena zł 25.

„ALCHEMIA PRAWA"

Profesor Jerzy Sawicki należy do grupy tych nielicznych naukowców, którzy mają odwagę pisywać dla najszerszych rzesz czytelniczych i od dawna dał się poznać jako popularyzator zagadnień prawa karnego. Nie tak dawno z zainteresowaniem czytaliśmy publikację „Sędziowie są omylni", a dziś otrzymujemy nową książkę tego autora pt. „Alchemia prawa". Jest to zbiór felietonów na temat problemów stojących aktualnie w centrum uwagi wszystkich ustawodawców świata.

Prawo nigdy nie nadążało za rozwojem faktów społecznych pojawiających się nagle i przechodzących skomplikowaną ewolucję. Prawnicy wobec nowych zjawisk są zawsze kunktatorami, toteż słusznie zauważył ktoś, że właściwiej jest mówić nie o ustawodawstwie, a o redagowaniu ustaw, przypasowywaniu norm prawnych do żywiołowo kształtującej się praktyki społecznej. A nasza epoka obfituje w cały szereg spraw, albo w ogóle wymagających uregulowania, albo też nowego uregulowania. I wbrew pozorom nie chodzi tu np. o prawo kosmiczne.

Profesor Sawicki przedstawił w swej książce kilkanaście typowych stanów faktycznych stojących na pograniczu prawa i moralności. Przykładowo: jak ma postąpić lekarz wezwany do ratowania samobójcy, który nie zgadza się na niesienie mu pomocy? Jakie są legalne granice eksperymentu naukowego? Kiedy bierność można uznać za aktywne działanie?

Starając się rozwiązywać cały szereg pytań, spornych i dyskusyjnych, autor posługuje się bogatą kazuistyką sądownictwa wielu krajów i orzecznictwem naszego wymiaru sprawiedliwości. Sprawia to, że książka wciąga jak przedni kryminał i angażuje jak traktat moralny. Każdy znajdzie w niej coś, co go na pewno zainteresuje, albo też na pewno zastanowi.

K. F.

Jerzy Sawicki „Lex": „Alchemia prawa", Wyd. Wiedza Powszechna.

„WYCIECZKI BALONEM NR 2"

W ciągu czterech lat, od 1961 do 1964 roku, Stanisław Zieliński dokonywał „sekcji" książek na wzór wytrawnego chirurga, który nie tylko chce zajrzeć do cudzego organizmu, lecz pragnie przede wszystkim ocenić go pod względem zdrowotnym. Ta innowacja w recenzowaniu, lub nazwijmy to „chirurgią in vivo", okazała się ciekawym novum w naszej krytyce. Jest to inteligentne podrywianie, za którym kryje się surowość sądu o lekkim subiektywnym zabarwieniu. Złośliwość — ta charakterystyczna cecha recenzji Zielińskiego, częstokroć jest pokryta nadmierną uprzejmością. I ta uprzejmość myli. Wprowadza w błąd. Dezorientuje. Jedynie uważny czytelnik potrafi odczytać jej właściwy podtekst. W swej książce Zieliński zebrał 55 recenzji najbardziej charakterystycznych powieści pojawiających się na rynku księgarskim w owym czteroletnim okresie. I chociaż autor nie zawsze ma rację, to książkę jego czyta się z zaciekawieniem. „Wycieczki balonem nr 2" są pozycją recenzencko-felietonową, starannie wydaną przez „Czytelnika" z rysunkami Andrzeja Heidricha.

E. L.

Stanisław Zieliński: „Wycieczki balonem nr 2", Wyd. „Czytelnik", 1964. Stron 412. Cena 19 zł.

LEOPOLD BECK

KILKA BARDZO GRZECZNYCH UWAG Z OKAZJI „BALU SAMOTNYCH"

Mówią, że operetka śpiewa i tańczy, stojąc od kilkudziesięciu lat na miejscu. Niepraw da. Właśnie w operetce dokonany został w dziedzinie inscenizacji fantastyczny krok naprzód. Na premierze, której nastrój decyduje często o dal szym powodzeniu, dodaje się bowiem na końcu spektaklu, po trzecim akcie jeszcze czwar ty: akt triumfu i samouwielbienia.

Jaka by nie była odegrana operetka, dobra czy zła, czwarty akt jest zawsze pełnym sukcesem. Ma on swoją niezawodną dramaturgię. W pierwszej scenie uczestnicy widowiska kłaniają się szereg za szeregiem — po czym ustawiają się w kilku tyralierach na scenie. Pierwszy rząd ze szczęśliwie uśmiechniętymi twarzami, niby to z powodu odniesionego osobistego i ze społowego sukcesu.

W drugiej scenie wkraczają bileterki do akcji, wręczając przy akompaniamencie oklasków grzecznej publiczności osobom pierwszoplanowym wiązanki kwiatów. W przypadku kosztowniejszej inscenizacji czwartego aktu bileterki ustawiają dodatkowo kosz kwiatów u stóp diwy. W niektórych operetkach do niezawodnych gagów należy przy tym, że głęboko wzruszony domniemanym sukcesem amant, całuje w rączkę swoją partnerkę. Publiczność rozumiejąc w lot, że amant tym „całujeraczki" przyznaje, że lwia część lub co najmniej połowa artystycznego sukcesu należy do diwy, jest wzruszona takim wybuchem rycerskości i bije brawa jak szalona. W wielu teatrach muzycznych do wypróbowanych gagów drugiej sceny czwartego aktu należy również to, że diwa rzuca swoją wiązankę kwiatów do kanału, celując w dyrygenta, uznając tym samym jego wyższość w hierarchii zasług. Nie kończące się brawa z powodu takiej skromności.

A potem już może nastąpić trzeci i finałowy obraz czwartego aktu. Ustawione na scenie szeregi zaczynają oklaskiwać nieobecnych jeszcze realizatorów, skandując z niesłychanym entuzjazmem: reży-ser! Ten zjawia się wreszcie, kłania się skromnie i gratuluje diwie i amantowi, jako też całemu zespołowi. A zespół skanduje dalej. Wzruszeni nieoczekiwanym, a tak dobrze wyreżyserowanym entuzjazmem realizatorzy gratulują wykonawcom i sobie nawzajem wielkiego sukcesu.

„Czwarty akt" — to jeden z największych wynalazków sztuki inscenizacyjnej. Jest on, jaka by nie była operetka, dobra czy zła, zawsze pełnym sukcesem. Całe szczęście, że nie ma u nas takich jak na Zachodzie recenzentów, którzy w służbie show-businessu (interesu widowiskowego) wychwalają niewypał jako eksplozję sztuki.

Wspomniany czwarty akt był na premierze „Balu samotnych" niewątpliwym szczytowym osiągnięciem spektaklu. Gdyby jednak w naszej operetce utrzymał się zwyczaj, że tylko widzowie mają prawo do aplauzu i wywoływania twórców, sprawozdawca wywołałby przede wszystkim **Tomasza Kiesewettera.** Jego inwencja muzyczna i biegłość kompozytorska przerastają okazję, którą dały mu dramaturgia i tekst „Balu samotnych". Muzyka — bardzo ładne numery obok mistrzowsko zmutowanych wspomnień z dorobku lekkiego genre'u nie stanowi jednak w tym spektaklu jedności ze słowem, czego jaskrawym przykładem jest polonez do wyliczanki traktującej o zakąskach i napojach. Nie ma w tym winy kompozytora lecz jak powiedziano, zawiniła okazja którą mu nastręczono. Jestem ateistą. Nie wierzę w Waldena.

Kierownictwo muzyczne i przygotowanie spektaklu leżało w rękach Henryka Debicha. Niewątpliwie podkreślił on walory spektaklu jako słuchowiska. I w ogóle muzykanci wodzili prym, bo rozszerzona orkiestra stanowiła pod batutą Debicha, jak gdyby świeżo nastrojony instrument, na którym koncertowano z wielką umiejętnością. Ale podczas gdy kierownik muzyczny i dyrygent miał do dyspozycji materiał nie byle jaki, reżyser i inscenizator (Danuta Baduszkowa) była wręcz w innym położeniu.

„Bal samotnych" jest „operetką z numerami" („Nummern operette") berlińskiego chowu — z paradą numerów taneczno-wokalnych w ekspozycji, dramaturgicznie ze sobą byle jak związanych, niekiedy bardzo niezręcznie. W drugiej części następuje odwieczny bal nad balami z obowiązującą orgia taneczną, a całość kończy się matrymonialnym happy-endem, przy czym ilość zawieranych małżeństw bezwzględnie świadczy o jakości finału.

Broń Boże, nikt nie gani tego sędziwego schematu. Ale sęk w tym, że sam schemat — bez ożywiającej go pomysłowości tekstowo-scenicznej — nie gra.

Nikt nie gani? To też nie prawda, bo czyni to program, wydany z okazji „Balu samotnych", deklarując, iż trzeba pisać lepsze i bardziej dorzeczne libretta niż te tradycyjne, które nas, czytamy, wprost żenują. Nas, to znaczy i mnie, widza w obliczu „Balu samotnych", bo ta próba „lepszego i bardziej dorzecznego libretta" tkwiła raczej w zamiarze, ze wszech miar zacnym, nawiasem mówiąc.

Zadanie polegało więc na zmontowaniu widowiska z dramaturgicznie i tekstowo dość problematycznego materiału. Jego wydajność starczyła tylko na stworzenie pozorów widowiska — na ładną wyprawkę dla niedołężnego libretciątka. Baduszkowej pomogli przy tym bardzo scenograf Bolesław Kamykowski i choreograf Józef Matuszewski. Niemniej jednak inscenizator nie zawsze zdołał wybrnąć ze sprzeczności między dobrą muzyką a kulawą dramaturgią. Stąd szereg nieporozumień, jakim jest np. „groteska kelnerska w hiszpańskim stylu", to znaczy przeobrażenie kelnerów w grandów z Madrytu i Sewilli. Można by sobie też postawić pytanie, dlaczego współczesność, o której wspomina program, zjawia się na scenie w kostiumach fin de sieclowych, a statyści usuwający sprzęt ze sceny przebrani są w liberie rokokowe. Można by takie przykłady jeszcze mnożyć, by zamęczyć reżysera — np., że w pewnej masowej scenie (a w tej dziedzinie reżyser spektaklu jest przecież specjalistą) soliści i chór zasłaniają tańczący balet. Takie rzeczy — podsuwanie wykonawców pod batutę dyrygenta, muszą być niezauważalne przez widza, a w cytowanym przypadku rzucają się w oczy.

Krystyna Nyc-Wronko — szczyt wokalistyki w naszej operetce — zajmowała się tym razem raczej aktorstwem. Janusz Duński robił co mógł, a że wiele może, był zabawnym zastępcą dyrektora biura matrymonialnego. Najwyraźniej padł ofiarą dramaturgii Jerzy Sidorowicz. Jest on bowiem „Wiosną" (pseudonim dziennikarski, za którym, jak wszyscy podejrzewają, kryje się piękna kobieta). Że „Wiosna" jest starym brodaczem — to najwyżej pointa dla blackoutu, krótkiego spięcia. W „Balu samotnych" krótkie to spięcie trwa od pierwszego do trzeciego aktu. Potem Sidorowicz ma działać w myśl starej gry „w bibra", gdzie, jak mi opowiadał mój dziadek, trumfem był biber, czyli brodacz w krótkich spodenkach jadący na rowerze. Mimo wszystko brak mi słów dla pochwały aktorów, ogółu aktorów podkreślam, którzy w sztuce, gdzie nie narysowano im twarzy, jednak twarzy nie tracą.

Wielce udana jest para etatowych zakochanych: Stanisława Kowalczyk-Muszyńska i Józef Korzeniowski. Dla mnie pani Kowalczyk jest prawdziwą rewelacją operetkową. Tuż za tym duetem podążają Sabina Grochowska, Jerzy Nejman, Sergiusz Wąsowicz i Andrzej Bara — w arcyzabawnym kwartecie taneczno-wokalnym.

Operetce łódzkiej należy się podziękowanie za niesłychaną wprost odwagę, z którą zdobywa polskie libretta.

Niech mi więc wolno będzie wznieść toast na jej, Operetki, cześć słowami Poety:

Wyborową,
Eksportową,
Kontuszówką
i żubrówką.
Cytrynową
i wiśniową
I czyściochą
Z białą główką,
Jałowcówką
I śliwówką.
Jarzębiaczkiem
I kminkówką.
(„Bal samotnych", akt II. „Aria zakąskowa")

„Bal samotnych", „musical" w 3 aktach. Muzyka: Tomasz Kiesewetter, libretto — Jerzy Walden, inscenizacją i reżyseria — Danuta Baduszkowa, kier. muzyczne — Henryk Debich, przygotowanie chóru — Kazimierz Skinder, dekoracja i kostiumy — Bolesław Kamykowski, choreografia — Józef Matuszewski.

IRENA BOŁTUĆ-STASZEWSKA

Miłości bez wzajemności (AKT DRUGI)

W końcu marca odbyło się w Warszawie tzw. sympozjum teatralne polsko-czechosłowackie. Wygłoszono na nim 6 referatów, dyskutowano przez 3 dni i przyjęto szereg wniosków, m. in. o wydaniu drukiem referatów oraz o zorganizowaniu podobnego sympozjum na przyszły rok w Pradze. Ukazały się pozytywne wzmianki i recenzje w naszej prasie, podkreślające znaczenie tego rodzaju imprezy, mającej na celu zacieśnienie kontaktów dwóch bratnich narodów itp. itd... A jednak... A jednak ogólne wrażenie z sympozjum najlepiej określa dziecinna wyliczanka:

Kocha, lubi, szanuje,
Nie chce, nie dba, żartuje...

Naturalnie pierwszy wiersz dotyczy braci Czechosłowaków, drugi, niestety, naszych rodaków. Czesi przybyli do Warszawy w 26-osobowej grupie, gdzie pod wodzą dr Jana Kopeckyego widzieliśmy wielu poważnych teatrologów i krytyków teatralnych, dyrektorów i kierowników literackich teatrów czeskich i słowackich. Czescy goście okazali nam zatem swoje uczucia („kocha, lubi"), przybywając do Polski, świadczyli uznanie („szanuje"), dyskutując szeroko o problemach poruszonych w referatach. Niestety, nie można tego powiedzieć o naszych krytykach, teatrologach, ludziach teatru. Mimo zaproszeń „nie chcieliśmy" wziąć udziału w obradach, „nie dbaliśmy" o polsko-czechosłowackie zbliżenie. Jeszcze na spotkaniu w ambasadzie czechosłowackiej widać było kilka osób z tzw. elity tzw. świata teatralnego, w czasie obrad sala świeciła pustkami. Byli referenci, byli organizatorzy z Ministerstwa Kultury i Sztuki i Spatifu, była grupa studentów bohemistyki (bądź co bądź profesorowie mieli referaty...). I to wszystko. Nie było krytyków teatralnych, nie było dyrektorów i kierowników literackich teatrów, nie było... wielu osób, które być powinny, choćby tylko ze względu na gości. A więc „nie chce, nie dba" a czy „żartuje"?

Powszechnie wiadomo, że jesteśmy narodem „besserwisserów", że zawsze wiemy lepiej i sądy nasze są autorytatywne. I tak polscy slawiści uznali, że ich znajomość czeskiego teatru jest głębsza, aniżeli czeskich gości. Mówiąc o czeskiej dramaturgii na scenach polskich usiłowali narzucić swój osąd zjawisk historycznych w czeskim teatrze. Wywołali gorące protesty gości, broniących się przed uproszczeniami i wyższością polskiego teatru choćby tym, że grali Szekspira wtedy, kiedy naszym Bogusławskim jeszcze się o nim nie śniło. Ale nie tylko lubimy pouczać, umiemy czasem i wzruszać. Tu i ówdzie łza zakręciła się w czeskim i polskim oku, kiedy usłyszano, jak to występowali w akcji na rzecz budowy praskiego Teatru Narodowego, sławni polscy pisarze, Orzeszkowa i Kraszewski. A że od czeskich braci nauczyliśmy się praktycyzmu — w referatach współczesnych proponowaliśmy szereg nowych dróg wyprowadzenia literatury czeskiej i słowackiej na sceny pol-

skie, ułatwienia wzajemnej wymiany teatralnej itp.

Może będzie lepiej za rok w Pradze. Może tam zjawi się czołówka polskich intelektualistów, których zabrakło w Warszawie, a przy okazji pozna nieco bliżej ciekawą, rozwijającą się sztukę i literaturę czechosłowacką. Przyjrzy się zjawiskom nowym, zaskakującym jakże często polskiego obserwatora, przeczącym wszystkim fałszywym pojęciom u nas zakorzenionym o naszych braciach zza miedzy...

Tymczasem przeżyliśmy „miłości bez wzajemności akt drugi". Jest naszym życzeniem, żeby aktu trzeciego po praskim sympozjum nie trzeba było pisać.

Zdjęcie na 1 str. ze zbioru podobizn zasobu drukarskiego tłoczni polskich XVI stulecia wyd. przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wrocław.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Hiszpański film WIOSENNA MIŁOŚĆ, JESIENNA MIŁOŚĆ stanowi w dorobku kinematografii interesującą pozycję. Powiem od razu: podobał mi się szalenie, lecz równocześnie wiem, że skazany jest na niepopularność. Wymaga od widza pewnego wyrobienia — życiowego, filozoficznego i filmowego. Przedstawia bowiem miłość w jej najbardziej wysublimowanej formie: kiedy zaczyna się budzić w chłopcu — dziecku jeszcze i jest tak nieśmiała, rozbrajająco i urzekająco naiwna, że trudno wprost już nazwać ją miłością i u schyłku życia między dwojgiem starszych ludzi, tak rozbrajająco i urzekająco... naiwną, że trudno jeszcze ją nazwać miłością. Miłość człowieka, przed którym stoi całe życie i miłość ludzi, których już nic nie czeka, skazanych na codzienną wegetację w przytułku prowadzonym przez siostry zakonne. Pierwsza część filmu jest po prostu wzruszająca. Druga — dramatyczna. Nie tylko przez kontrast „jesieni" i „wiosny". Przede wszystkim przez ukazanie miłości ludzi nikomu już — zdawałoby się i sobie — niepotrzebnych, skazanych na obojętność i obcość otoczenia, na surowy rygor zakonny. To miłość ludzi starych, którym sam wiek w społecznym mniemaniu kochać nie pozwala. Obie miłości: owa wiosenna i jesienna przejawiają się przede wszystkim w mimice: w spojrzeniu, w uśmiechu, w sposobie zamyślenia. No i oczywiście w listach — zabawnych i wzruszających w obu częściach filmu. To zaakcentowanie mimiki bohaterów powiodło się dzięki doskonałemu aktorstwu i bardzo subtelnemu opracowaniu operatorskiemu. Temat filmu stwarzał niesłychanie podatny grunt pod popadanie w niezamierzoną śmieszność. Film ten zdołał jej jednak szczęśliwie uniknąć. Ominął też drugie, zagrażające mu ze względu na temat niebezpieczeństwo — przesadną, niepotrzebną czułostkowość. Do plusów filmu należy zaliczyć i to, że przedstawia szereg doskonałych, podpatrzonych obrazków środowiskowych, i zabarwia je specyficznym humorem, choć nie pozbawia ostrości wymowy, szczególnie gdy dotyczą przytułku dla starców. To piękny, pogodny, choć trochę smutny film, o dużym ładunku liryzmu.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Dobry tytuł to połowa sukcesu — dobrze wiedzą o tym przemysłowcy filmowi. Ale czasem i najbardziej bombowy nie pomoże. Dowodem — czeski film STARCY NA CHMIELU. Przedziwny jest zresztą cały film, nie tylko jego tytuł. Najkrócej można by go określić: połączenie amerykańskiej rewii (nie w najlepszym gatunku) z osławionym produkcyjniakiem. Karkołomna krzyżówka. Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Łopatologiczne mentorstwo w takt bossa-nuova. Starcy na chmielu to spora gromada czeskich nastolatków. Dlaczego starcy — wyjaśnia piosenka: Bo starcy są dzisiaj jak dzieci, a dzieci czują się starcami. Dlaczego na chmielu? — bo owa gromada to uczniowie pracujący w czasie wakacji na plantacji chmielu. Czołowe konflikty: między młodym a starszym pokoleniem, między jednostką a kolektywem, między miłością a zazdrością i nienawiścią. Młodość jest oczywiście burzliwa. Bójki na pięści obok tekstów z Seneki. Grożenie nożem i — własne, liryczne wiersze o miłości. Ciągła huśtawka dla widza: od częstych — gęstych numerów rewiowych do zasadniczych, bardzo na serio dyskusji. A pośrodku tego wahadłowego systemu wszystko razem: piosenki o bardzo nowoczesnym rytmie i bardzo nie nowoczesnych mentorskich, nudnych tekstach. W efekcie — nie tylko dysonans, ale wręcz kakofonia filmu w dziedzinie stylu. I gdyby wszystkie zmagania reżysera z materiałem filmowym, a nade wszystko własną koncepcją pokazane były w krótkim metrażu, może stanowiłyby dla odbiorcy widok atrakcyjny. W każdym razie z całą pewnością zaskakujący. Bo takie połączenia jakich pełno w tym filmie nikomu dziś nie wpadną do głowy. Niestety, „Starcy na chmielu" to długi metraż. Stanowczo za długi. Film staje się więc po prostu nudny, tak że nawet część tych nielicznych, którzy przyszli go obejrzeć, wychodzi w trakcie seansu, odżałowawszy, że panorama, i że kolorowy. Tych właśnie — wbrew dobrym zwyczajom — uspokajam: najlepszy fragment zdążyli obejrzeć — ekspozycję przed czołówką. Zatrzymywanie tanecznych numerów w znieruchomiałej fotografii, by za chwilę przejść z niej do dalszej pozy ruchu w rytm dobrych, nowoczesnych melodii dało ciekawe i mylące rezultaty. Mylące w swej sugestii, że cały film będzie interesujący.

Miłośników kryminałów — tych jawnych i tych ukrywających swoje upodobania — trudno dziś zadowolić. Trzeba nie lada zabiegów, żeby przez cały czas utrzymać odbiorcę w niepewności — kto zabił. Publiczność filmowo-telewizyjna „zscherlockowała" nam się i nie wystarczy już byle intryga, by utrzymać jej zaciekawienie. Toteż UMARLI MILCZĄ jest arcydziełem w swoim rodzaju. Przez bite cztery godziny (film składa się z dwóch serii) trzyma widza w nieustannym napięciu. Wydaje nam się, że już zaczynamy się orientować, że sytuacja wyjaśnia się. Jesteśmy tego pewni i wtedy szok — zwrot w akcji o 180 st. i od nowa zaczynamy budować gmach swoich podejrzeń. Ale film burzy nam go ponownie. Jesteśmy zdezorientowani. Wtedy dopiero reżyser powoli zaczyna odkrywać tajemnicę. Widz śledzi ją z wzrastającym zainteresowaniem. Emocja dochodzi do zenitu w klasycznej scenie pogoni. A zaczyna się od tego, że nawet nie wiadomo, czy morderstwo zostało w ogóle popełnione. Zniknął redaktor pisma. Wyjechał incognito? Został porwany? Padł ofiarą mordu? — Oczywiście nie odpowiem na te pytania. Nie zdradzę niczego z toku akcji. Niech kinomani przeżyją sami przed ekranem pełną emocję. Tym większą, że cała ta tajemnicza historia rozgrywa się na tle innej równie zawiłej sprawy związanej z aferą z dorsanem — lekiem uspokajającym, który okazał się trucizną i zażywany przez kobiety ciężarne spowodował przyjście na świat tysięcy kalekich lub martwych niemowląt. „Umarli milczą" to film ambitny. Spełnia doskonale zadanie filmu kryminalnego trzymania widza w napięciu, lecz nie poprzestaje na tym. Dzieło to przenika od początku do końca pasja demaskatorska. Karol Irzykowski powiedział w „Dziesiątej Muzie", że od bohatera filmu kryminalnego krok tylko do myśliciela i działacza-społecznika. Wydaje się, że krok ten został dokonany. Właśnie w filmie „Umarli milczą".

MARIA REL

Le Corbusier

NAJWIĘKSZY z mistrzów współczesnej architektury, liczy 78 lat, nosi okulary w grubej oprawie, przysłaniające zimne i bardzo jasne oczy. Ubiera się z elegancją właściwą raczej lekarzom niż artystom. Ostre rysy twarzy wyrażają upór, surowość, pogardę. Od 30 lat odmawia kontaktu z dziennikarzami, nie liczy się z opinią publiczną.

Opanowywać, dominować, — oto słowa, które Le Corbusier wypowiada najczęściej, wymawia je z uroczystą powagą — określenia bardzo zasadnicze dla jego osobowości, przejawia się w nich umiejętność podporządkowania rzeczy swojemu intelektowi.

Syn szwajcarskiego rzemieślnika z La-Chaux-de-Fonds, po ukończeniu szkoły sztuk plastycznych, udaje się do Włoch, Grecji, i na Środkowy Wschód. W zderzeniu z pejzażem i rytmem sztuki antycznej załamały się sztuczne formuły słyszane w szkole. Corbusier w obliczu Partenonu przeżywa wielki szok estetyczny. „...Kolumny leżały w pyle, a przecudowne ich kapitele znajdowały się na wysokości mojej twarzy — mogłem je dotykać, czuć ich zadziwiająca harmonię..." pisał Corbusier. Potem studia w Paryżu, u Augusta Perret, genialnego konstruktora, który próbował zbrojony cement zamknąć w kształt artystyczny. Dwuletni pobyt w Monachium... w środowisku architektów najbardziej wówczas postępowych i powrót do Szwajcarii. Porzuciwszy rodowe nazwisko Karol Edward Jeanneret — Le Corbusier wraca do Paryża. Jest już nie tylko wielkim artystą, ale prekursorem nowej filozofii w architekturze. Zasadniczą myślą jego twórczości jest człowiek. Naukowe osiągnięcia XX wieku mogłyby z łatwością zgnieść jednostkę ludzką. Trzeba nad nimi panować. — „Trzeba wyprowadzić nowoczesnego człowieka z chaosu, jaki nie sie impet mechanizacji Zadaniem architektury — pisze gdzie indziej. jest wprowadzić ład. My architekci chcemy przywrócić Wam kontakt z kosmosem i przyrodą aby Wasze ciało mogło się swobodnie poruszać, a myśl mogła sięgać najśmielszych horyzontów."

Cały trud genialnego architekta dąży do uszlachetnienia istoty ludzkiej, chce być mediatorem pomiędzy człowiekiem, cywilizacją przemysłową, pejzażem. Walczy o właściwą wysokość mieszkań, przystosowanych do naszych ludzkich ruchów, do naszej biologii. Wprowadza powietrze i słońce w domy, w których okna otwiera szeroko. Drzewa nazywa „starymi towarzyszami człowieka". Zamiast ulic proponuje rozległe zielone przestrzenie dla pieszych, a w swych planach do „Ville Radieuse" przerzuca na wysokość 5 metrów nad miastem słoneczne autostrady. Za pał twórczy ponosi go. „Paryż — to miasto historii i gruźlicy" — proponuje wyburzenie ubogich, przeludnionych dzielnic, konserwację zabytkowych i wybudowanie w Centrum drapaczy ze szkła i aluminium. Ten rewolucyjny projekt architekta-urbanisty spotkał się z ostrym protestem czynników oficjalnych. — „Władza jest wszędzie taka sama, skamieniała i sklerotyczna."

— „Żyjemy w epoce wielkiej rewolucji naukowej. Każdy musi dostosować się do warunków, jakie ta epoka stwarza — przystosowanie jest obowiązkiem, a nie wyborem. Czy ludzkość dojdzie do katastrofy, czy do wspaniałego rozkwitu, zależeć będzie od człowieka, czy potrafi on pokonywać przeszkody, czy okaże się istotą naprawdę rozumną..." Każdego roku Corbusier spędza swój urlop samotnie w małej rybackiej wiosce — „...bo człowiek musi przede wszystkim umieć znaleźć siebie. Aby zachować rozmach i siłę tworzenia potrzebna jest samotność."

AMERYKAŃSKIE doroczne nagrody Pulitzera zwróciły uwagę czytelników na dwie niemal dotąd niezauważone powieści mało znanych autorów. Pierwsza z nich to „The Keepers of the House) („Panowie Domu") Shirley Ann Grau — jeszcze jedna historia obrazująca obyczaje i dramaty Południa. Druga nagrodzona powieść to „The Subject was Roses" („Chodzi ło o Różę") Franka Gilroya, dramat obyczajowy o typowej dla amerykańskiej współczesnej prozy konstrukcji i stylistyce. Nagrodzony równocześnie tom poezji Johna Berrymana „77 Dream Songs" („77 Sennych Pieśni") uznany został przez krytykę za wybór trafny chociaż wyraźnie elitarny.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

CHŁOPIEC ZBUNTOWAŁ SIĘ, opuścił rodzinne pielesze i zaczął szukać pracy. Nie byłoby w tym nic szczególnego — może się to zdarzyć wszędzie i w każdej rodzinie — gdyby nie fakt, iż chłopiec jest synem miliardera, jednego z największych aktorów naszych czasów Charlie Chaplina, Zerwanie 19-letniego Michała Chaplina z rodzinnym „klanem" jest pełne niejasności i niedomówień. Zatrzymany o północy, w sierpniu 1964 roku, niedaleko londyńskiego Hyde Parku i odprowadzony do komisariatu policji, Chaplin junior oświadczył: „Jestem bezrobotny i nie mam jeszcze żadnych planów. Ojciec musi zrozumieć, że chcę prowadzić życie na swój sposób. Że chcę wyrwać się spod jego wpływu..."

Drzeworyt Carmelo Gonzaules-Iglesias (Kuba) z berlińskiej wystawy grafiki otwartej 6 maja br.

NAGRODA „VICTOIRES" przyznawana corocznie przez pisma Le Figaro, Le Film francaise i Cinemonde na podstawie szerokiego czytelniczego plebiscytu jako najlepszy film francuski roku 1964 wyróżniła „Parasolki z Cherbourga". Wśród filmów zagranicznych nagrodę otrzymała ekranizacja słynnego musicalu „My Fair Lady". Marcello Mastroianni i Audrey Hepburn uznani zostali w plebiscycie za najwybitniejszych aktorów roku.

KRYTYKA WŁOSKA BIADA iż zalew tandetnej produkcji komercjalnej decyduje wszechwładnie o poczynaniach rodzimej kinematografii. Ten właśnie kierunek, schlebiający najtańszym gustom i mający jedną tylko ambicję — zrobienie kasy — opanował w takim stopniu włoskie studia i może warto zapoznać naszych czytelników z jego typowymi przejawami lub — użyjemy popularnego w krytyce filmowej określenia — z jego „falami", wyznaczającymi profil włoskiej produkcji filmowej w ostatnich trzech latach.

Pierwszą taką falą były filmy erotyczne, kłopotliwe dla cenzury, kręcone na wzór osławionych „Tabu". **Druga fala to barwne szerokoekranowe historyczne kolosy,** często wieloseryjne i tym różniące się od swych włoskich poprzedników realizowanych jeszcze za czasów Mussoliniego, iż bohaterami ich są obecnie najczęściej wrogowie antycznego Rzymu. **Trzecia fala to włoskie Westerny;** kręci się ich coraz więcej, powtarzając z niewielkimi zmianami motywy znane już dobrze z ekranu i sięgając do wzorów z lat dwudziestych i trzydziestych. Maniera filmu kowbojskiego działa i na nazwiska, które aktorzy włoscy zmieniają na angielskie. Czasem w filmie takim gra i któryś z gwiazdorów hollywoodzkich, bawiących właśnie we Włoszech na wakacjach. **Czwarta wreszcie fala, to filmy zgrozy,** naśladujące niewolniczo tym razem angielskie wzory. Równolegle w studiach włoskich powstają i parodie tego gatunku, jak np. słaby zresztą film pod wymownym za to tytułem „Straszny Eksperyment Doktora Hichcocka". **Piąta natomiast fala wywodzi się z dobrej włoskiej tradycji:** to filmy składanki, ekranizacje nowel i opowiadań, niestety w tej masowej produkcji coraz płytsze i prymitywniejsze. **Szósta fala wreszcie stoi pod znakiem komików Franchi i Ingressia,** ogromnie spopularyzowanych przez telewizję. W ostatnim tylko półroczu nakręcili oni aż piętnaście filmów, z których każdy stał się wielkim kasowym sukcesem. Obaj aktorzy szczycą się tym, iż w trakcie kręcenia filmu nie powtarzają żadnej sceny, ich genre polega bowiem na aktorskiej improwizacji, tradycyjnie żywej we Włoszech (Commedia dell'arte). Reżyser tych filmów Fulco Fulci wyczuwa nieomylnie upodobania masowego włoskiego widza, niewykształconego i prymitywnego, i takim właśnie upodobaniom bez żadnych skrupułów schlebia, robiąc na tym milionową fortunę, cykl produkcyjny jego filmów zamyka się bowiem przy minimalnych kosztach w 7—10 dniach. Na tle takiej prymitywnej i tandetnej produkcji zalewającej włoskie ekrany, filmy ambitniejsze stają się zjawiskami rzadkimi, a ich realizacja wymaga prawdziwego samozaparcia. Co gorsza, ambitny film coraz częściej staje się klęską finansową; tak było m. in. z „Czerwoną Pustynią" Antonioniego, którą wyświetla się we Włoszech przy prawie pustej widowni.

ZWIĄZEK RADZIECKI rozpoczyna wielką ofensywę eksportową skierowaną na Zachód. W Stanach Zjednoczonych prowadzi ją kierownik biura nowo powołanej instytucji Wnierztorgreklama (Zagraniczna Reklama Handlowa) 41-letni Anatol Wasiliew. W wywiadzie udzielonym prasie amerykańskiej stwierdził on, iż Biura Zagr. Reklamy Handl. zatrudniają około 650 plastyków. Natomiast reklama w radzieckim handlu wewnętrznym — wciąż jeszcze zaniedbana — zostanie już wkrótce zrewolucjonizowana: powołano do życia 72 regionalne agencje reklamowe, zatrudniające 7.000 pracowników.

M. E. HERZOG, doktor filozofii i profesor, autor głośnych, choć niedokończonych prac, całymi dniami przesiaduje w swej samotni, w opuszczonym i chylącym się ku upadkowi wielkim domostwie, gdzieś w zachodnim Massachussetts. Herzog cały swój czas spędza na pisaniu długich, nie kończących się i nie wysyłanych nigdy listów. Adresuje je do żywych i zmarłych. Wśród tych listów jest i zaczynający się od słów „Drogi panie Nitsche!"

Oto sytuacja wyjściowa nowej powieści Saul Bellowa pt. „Herzog", która natychmiast po ukazaniu się osiągnęła ogromny sukces księgarski, a przez krytykę uznana została za najwybitniejsze dzieło amerykańskiej literatury lat ostatnich.

Saul Bellow — pisarz u nas niemal zupełnie nieznany — przez całą współczesną krytykę literacką jest zgodnie zaliczany do czołówki najwybitniejszych prozaików amerykańskich. Jego dotychczasowe sukcesy to „Przygody Augie March" — prowadzona w pierwszej osobie historia utrzymana w stylu powieści łotrzykowskiej, następnie „Henderson, król deszczu", którego obszerny fragment mieliśmy możność przed laty czytać w „Świecie", wreszcie „Seize the Day" (Sprawy Życia) opowieść o obsesji walki o „sukces".

Głośne te książki stanowiły jednak tylko zapowiedź wielkiego talentu Bellowa: „Herzog" jest natomiast dziełem w pełni już dojrzałym, o głębokiej treści myślowej i skończenie doskonałej formie. Raz jeszcze w tej książce odżywa problematyka egzystencjalizmu — i stąd zbieżności z powieściami

Frischa czy Sartre'a. Bellow jest jednak myślicielem i pisarzem o horyzontach nie zamkniętych żadnym dogmatem filozoficznym, stąd większa swoboda z jaką konstruuje los swych bohaterów i analizuje ich świadomość. Szczególnie interesuje pisarza problem samotności, pojęty egzystencjalnie, uwarunkowany burzliwymi przeżyciami psychicznymi i odejściem tych, z którymi łączy się całe życie uczuciowe bohatera. Herzog jest sam: analiza jego przeszłości, potrzeba jej oceny, to już nie tylko ciekawe studium psychologiczne i świetna powieść — to także rozważanie nad losem człowieka, traktat o jego przemijaniu, o sensie egzystencji, a także próba — i w jej podjęciu chyba mieści się tajemnica sukcesu książki — filozoficznego pogodzenia człowieka współczesnego z jego przeznaczeniem.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Ekranizacja telewizyjna „Starej cegielni" Jarosława Iwaszkiewicza wypadła znacznie słabiej niż ekranizacja utworu tegoż autora „Tatarak", który nam pokazano trzy tygodnie temu. Pisząc na tym miejscu o ekranizacji „Tataraku" wyraziłem pogląd, że są takie niepowtarzalne pociągnięcia piórem i takie uroki lektury, których niepodobna przenieść najdoskonalszymi środkami przekazu mechanicznego. Ta uwaga jeszcze bardziej wydaje się mieć zastosowanie do „Starej cegielni"; która była trudniejszą do przeniesienia na szklany ekran. Reżyser nie uratował nic z piękności noweli Iwaszkiewicza, a ponadto prowadził akcję w tak rozwiekłym tempie, że chwilami spektakl nużył. Wysokim poziomem gry mogli zjednać sobie widzów Fijewski, Pak, Dmochowski, Nagórna i Drapińska.

WTOREK

Czy pamiętacie Państwo świetną (ale i trudną) powieść Jean Cau „Litość Boga", wyróżnioną w 1961 roku nagrodą Goncourtów? Powieść ta ukazała się u nas w roku 1963 w tłumaczeniu Krystyny Dołatowskiej w Wydawnictwie PIW. Obecnie naturalnie, nigdzie już nie można jej nabyć. Dobre powieści mają u nas krótki żywot księgarski. Jean Cau był przez kilka lat sekretarzem Sartre'a i współpracował z „Temps modernes", gdzie ogłaszał swoje pierwsze powieści. Obecnie autor „Litości Boga" wydał nową powieść pt. „Le meurtre d'un enfant", o której wybitny krytyk R. M. Albérès wyraża się w jednym z ostatnich numerów „Nouvelles Littéraires" z dużym uznaniem. Utwór wywodzi się z linii genealogicznej „Spowiedzi dziecięcia wieku". Są to rozmyślania człowieka po czterdziestce nad tym, czym było jego życie, ta krótka brutalna historia, trochę zawstydzająca, pełna buntów i niedotrzymanych obietnic.

ŚRODA

Duży sukces odniósł łódzki Teatr Lalek „Arlekin" na III zjeździe Teatrów Lalek Polski Wschodniej w Przemyślu. „Arlekin" zademonstrował jednogodzinny spektakl złożony z fragmentów dla uczczenia Światowego Dnia Teatru. W najbliższych planach „Arlekina" przewidziany jest wyjazd na festiwal do Jugosławii, gdzie oprócz sztuki „Maski Mistrza Fantaski" teatr wystąpi z pokazem indywidualnych numerów estradowych. Życzymy powodzenia!

CZWARTEK

Osiem krótkometrażowych filmów Normana McLarena pokazano nam w Klubie Dziennikarza we wtorek. Norman McLaren — filmowiec kanadyjski, przeprowadza interesujące eksperymenty w zakresie animacji, starając się „rysować" nie tylko ludzi i przedmioty, lecz również — dźwięki. Krótkometrażówki, jak „Precz z troskami" lub „Kropki" robiły wrażenie animowanego malarstwa, a raczej — płócien abstrakcyjnych. „Wstępna mowa" i „Historia krzesła" to obsesje reżysera na punkcie złośliwości przedmiotów martwych. McLaren wydobył wiele komizmu z paradoksalnych sytuacji, które przypominały nieco pomysły Chaplina. „Sąsiedzi" wreszcie to makabryczna groteska na tle sporu o graniczny kwiat między sąsiedzkimi posesjami. Czy nie-klubowa publiczność będzie miała okazję poznania eksperymentów filmowych Normana McLarena?

PIĄTEK

Na Wystawie 1-majowej w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. Sienkiewicza zwracają przede wszystkim uwagę piękne, utrzymane w dawnej konwencji prace malarskie Konstantego Mackiewicza „Martwa natura" i Feliksa Turskiego „Poprad" oraz „Szklarska Poręba". Przed tymi płótnami zatrzymują się najczęściej gromadki widzów dyskutując namiętnie. A w ogóle Szklarska Poręba na tej wystawie „obrodziła". Na jej temat wystawiono obrazy Aleksandra Luby, Eugeniusza Slepkowskiego, Józefa Wasiołka. Równie bogato jest reprezentowany łódzki pejzaż przez obrazy Wiesława Garbolińskiego, Kazimierza Kędzi, Józefa Mroza, Tadeusza Romana, Józefa Skrobińskiego i Tadeusza Sprusiaka. Podobał mi się też tym razem oryginalny obraz Benona Liberskiego „Ludzie i maszyny" (olej) oraz Krystyny Szadkowskiej „Żagle", wieloznaczna kompozycja, która — gdyby nie napis tytułowy — mogłaby uchodzić za próbę malarstwa nieprzedstawiającego. W grafice wystawili swe prace Liberski, Płóciennik i Leszek Rózga, którego akwaforta „Wspomnienia" wzbudza podziw.

SOBOTA

Numer 1077 z 22 kwietnia br. „Les Lettres Francaises" przyniósł niezwykle interesujący artykuł recenzyjny Pierre Daixa o eseju Jacques Mayoux o Joyce'cie. Mayoux stwierdza, że „Ulysses" Joyce'a stał się tym dla współczesnej powieści, czym twórczość Picassa dla malarstwa i teoria względności Einsteina dla nauki. Niestety, żadne z dwóch kapitalnych dzieł Joyce'a, ani „Ulysses", ani „Finnegans Wake" nie ukazało się dotąd w przekładzie polskim. A przecież „Ulysses", to zwierciadło dwudziestego wieku! Daix wyraża pogląd, że każdą epokę można scharakteryzować i poznać zarówno po jej entuzjazmie, jak — po jej nienawiści i braku tolerancji. „Ulysses" jest pod tym względem papierkiem lakmusowym.

NIEDZIELA

Czy zauważyliście Państwo, że wielu łodzian nie potrafi rozmawiać jak należy przez telefon? Zamiast zacząć rozmowę telefoniczną normalnym pytaniem: „Czy mogę prosić do telefonu p. Kowalskiego względnie — Pawłowskiego?" albo: „Czy zastałem pana X?" lub: „Czy mógłbym mówić z panem Y?" lub: „Czy to numer 44444?" Ci, nie umiejący rozmawiać przez telefon zapytują szorstko osobę podnoszącą słuchawkę: „Kto mówi?" A idźże sobie z Panem Bogiem! myślę sobie wtedy. To ty pierwszy powinieneś się przedstawić, mówiąc: „Tu mówi ten a ten", względnie powinieneś prosić o wezwanie do telefonu osoby, z którą chcesz mówić! Obcesowe „Kto mówi?" jest nieuprzejme. Ja odpowiadam na pytanie „Kto mówi" ze śmiertelną powagą — Szekspir. Albo: „Czerwony kapturek! Lub: Święty Antoni.

ARYSTARCH

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

O czwartej rano dwaj mundurowi przyprowadzili go do więzienia. Z rzeczy osobistych zostawiono mu jedynie chusteczkę i papierosy. Zrobiono odciski palców i wydano pokwitowanie na zabrane przedmioty. Znaleziony przy nim pistolet został umieszczony w szafie na której widniał napis: dowody rzeczowe.

CLARK HOWARD

Koniec podróży

Powiedział, że nazywa się George Carter i że nie był jeszcze karany. Oskarżono go o napad z bronią w ręku i zaprowadzono do celi. Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, zapalił papierosa i położył się na pryczy. Co za cholerne szczęście, pomyślał.

Dwie godziny temu wracał z udanego napadu. Wszystko szło jak należy. Sklepikarza zamknął w łazience, z sejfu wyjął piętnaście tysięcy, a przed opuszczeniem sklepu włożył do kieszeni płaszcza cztery butelki whisky. Dopiero na ulicy dopadł go brat sklepikarza, policjant, który nigdy nie rozstawał się z bronią.

Po czterdziestu ośmiu godzinach z FBI dowiedziano się, że prawdziwe jego nazwisko brzmi: George Maxwell, który za napady rabunkowe był już dwukrotnie karany.

Co za cholerne szczęście! Teraz dostanę nie mniej niż dwadzieścia, pomyślał. Mam trzydzieści pięć lat plus te dwadzieścia... Wystarczy żeby mnie skończyć... A to pech!

Rzucił papierosa na kamienną podłogę i odwrócił się twarzą do ściany.

Obudził go trzask zamykanych drzwi. W celi znajdował się mężczyzna w okularach. Miał na sobie przyzwoity garnitur, białą koszulę i krawat. Był w jego wieku, tylko trochę szczuplejszy i miał rzadsze z przodu włosy.

Mężczyzna usiadł na brzegu pryczy, wyjął papierosa i usiłował zapalić. Ręce mu drżały. George patrzył na niego obojętnym wzrokiem. Mężczyzna popatrzył na George'a, wstał i zbliżył się do niego.

— Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć w jaki sposób można się skontaktować z adwokatem? Zapomniałem spytać policjanta.

— Ma pan prawo raz zatelefonować. Za co pana wsadzili?

Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało.

— Och, to nic szczególnego. Miałem być świadkiem w pewnej sprawie, ale uciekłem i teraz mają po mnie przyjechać.

— Nie rozumiem — powiedział George.

— To bardzo proste — ciągnął dalej mężczyzna. — Nazywam się Harold Craig i jestem księgowym w Kansas City. Pracuję w firmie, która zajmuje się sprawdzaniem ksiąg rachunkowych różnych przedsiębiorstw. Jedna z kompanii, która nam podlega jest własnością Alfreda Tulo. Bardzo możliwe, że słyszał pan o nim.

George ze zdumienia szeroko otworzył oczy. Sławny Al Tulo! Jeden z kierowników narodowego syndykatu, popularny przywódca legendarnej Amerykańskiej Mafii. A ten dureń pyta go czy on o nim słyszał!

— Wiem o kim pan mówi — skinął głową George i uśmiechnął się.

— Nasza firma nic nie wiedziała o kompanii Mr Tulo. Postanowiliśmy przejrzeć wszystkie księgi i sporządzić bilans. Ja miałem to wykonać, wraz ze swoimi pomocnikami. Pewnego dnia przyszło kilku funkcjonariuszy z tajnej policji. Mieli nakaz zatrzymania nas oraz wszystkich ksiąg. Jednakże następnego dnia wybuchł pożar i wszystkie księgi spłonęły.

Na ustach George'a pojawił się uśmiech. Wiedział, że to nie był przypadek.

— Tego samego dnia Mr Tulo wezwał mnie do siebie i spytał czy pamiętam jakie nazwiska były umieszczone w księgach. Powiedziałem, że mógłbym odtworzyć większość z nich. Wtedy Mr Tulo zaproponował mi bym zniknął z miasta i nie odważył się stawać w sądzie. Zagroził, że mnie zastrzeli nawet na sali sądowej jeżeli nie przystanę na jego warunki. Dał mi pięć tysięcy dolarów i adres adwokata w Los Angeles, bym mógł się dowiedzieć, czy już cała ta sprawa ucichła. A dziś kiedy wróciłem z kina w hotelu czekało na mnie trzech detektywów. Przyprowadzili mnie tu i powiedzieli, że szeryf z Kansas City ma po mnie przyjechać.

— Sprawa jest jasna. Musi pan zostać i czekać na szeryfa.

Craig westchnął bezradnie. Twarz mu pobladła. Ze wzrokiem utkwionym w podłogę myślał o swojej smutnej przyszłości.

George również myślał o sobie. I nagle przyszedł mu do głowy zupełnie zwariowany pomysł. Tak, to była olbrzymia szansa, która należało wykorzystać.

— Nie, Harold, adwokat panu nie pomoże — ożywił się George. — Jedyną osobą na którą pan może liczyć — to ja. Jesteśmy tego samego wzrostu. Włoże pański garnitur i kiedy przyjedzie szeryf z Kansas City — ja z nim pojadę, a pan zostanie na moim miejscu. W drodze postaram się uciec.

— A jeżeli się nie uda?

— Niczym nie ryzykujemy. Jeśli wszystko skończy się pomyślnie, po moim wyjeździe stwierdzą, że to pan został, a ja pojechałem z szeryfem i wtedy pana będą musieli wypuścić. Chyba, że pan chce stanąć na sali sądowej przed obliczem Mr Tulo...

— Nie, nie! — krzyknął Harold.

— No to do dzieła — George zaczął rozpinać koszulę.

Po godzinie przyszedł strażnik i George wyszedł z nim. Na górze wręczono mu przedmioty osobiste należące do Harolda. George pokwitował odbiór i wtedy z zadowoleniem stwierdził, że strażnik nie ma zamiaru porównywać podpisów. W przyległym pokoju czekał na niego młody mężczyzna w garniturze. Szeryf — pomyślał George.

— Nazywam się Downer — powiedział szeryf. — Najbliższym pociągiem pojedziemy razem do Kansas City. A to czy podróż będziemy mieli przyjemną zależy jedynie od pana.

— Nie będzie miał pan ze mną kłopotu — uśmiechnął się George.

Na stacji szeryf kupił mu papierosy.

— Nie jest pan kryminalistą. Jest pan świadkiem, którego muszę dostarczyć na rozprawę.

Wsiedli do wagonu. Pociąg ruszył. Po pewnym czasie do przedziału, który zajęli wszedł konduktor.

— Chciałbym nadać depeszę z Madison. Kiedy pociąg będzie zbliżał się do stacji, proszę mi powiedzieć — Downer wręczył konduktorowi dolara.

— Dziękuję panu.

Konduktor odszedł i szeryf założył Georgowi kajdanki. Wyjął czasopisma.

— Może ma pan ochotę poczytać?

— Chętnie — George wziął jeden z tygodników.

Dłuższy czas jechali w milczeniu. To jakiś wykształcony facet — pomyślał George i powiedział:

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan przyjął taką podłą robotę?

— Człowiek musi z czegoś żyć, oprócz tego podoba mi się moja praca. To bardzo ważna rzecz — lubić to co się robi, prawda?

— Jasne — George pomyślał o swojej pracy. Lubił ją chociaż złapano go już trzy razy.

Ciekaw jestem co się dzieje z Haroldem — myślał George — dostanie za to pięć lat dla samej zasady, bo przecież nikt mu nie uwierzy, że to ja go zmusiłem do tej zamiany i że przemocą zdjąłem z niego garnitur. Ale lepiej niech on dostanie niż ja.

— Za dziesięć minut będziemy w Madison — w drzwiach przedziału ukazał się konduktor.

— Dziękuję — Downer znów dał mu dolara.

Konduktor odszedł. Downer wziął tygodniki, włożył je do walizki, i zamknął ją.

— Wysiadamy? Myślałem, że jedziemy do Kansas City — zdziwił się George.

— To pan tam jedzie, ale nie ja — odparł Downer i wyciągnął pistolet. — Chyba pan nie myśli, że Mr Tulo pozwoli panu stanąć w sądzie, co?

George zaklął głośno. Tak, to wcale nie był szeryf, to był torpedo! Z ust George'a wydobył się dziki chichot.

— Chwileczkę, to pomyłka. Ja nie jestem Harold. Nazywam się George Maxwell. Zamieniliśmy się z Haroldem w więzieniu...

Downer roześmiał się.

— Przestań się wygłupiać, Harold. Nic z tego.

George zauważył, że Downer trzyma w ręku pistolet z tłumikiem.

— Posłuchaj mnie, ja mówię prawdę — prosił.

— Pewnie, zawsze byłeś prawdomówny.

George siedział z otwartymi ustami, oczy wychodziły mu z orbit wpatrzone bezradnie w elegancko ubranego mężczyznę. Miał ochotę krzyknąć, ale w tym momencie Downer zbliżył lufę pistoletu do jego głowy i wystrzelił.

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

SPEKTAKLE tygodnia

FILM		
WISŁA	„Osiem i pół"	5350 widzów
ZACHĘTA	„Kasiarz"	8936 „
TEATR		
POWSZECHNY	„Dziady", 3 spektakle	1986 — 100%
	„Szkoła żon", 2 spektakle	1334 — 100%
NOWY	„Pan Geldhab", 2 spektakle	1100 — 70%
	„Osiem kobiet", 2 spektakle	1300 — 95%
	„Drewniana miska", 1 spektakl	600 — 90%
MAŁA SALA	„Drewniana miska", 2 spektakle	400 — 100%
7.15	„Latające dziewczęta", 6 spektakli	2634 — 100%
	„Pani Prezesowa", 1 spektakl	439 — 100%
OPERA	„Legenda Bałtyku", 1 spektakl	711 — 100%
OPERETKA	„Bal samotnych", 6 spektakli	5887 — 90%
FILHARMONIA	2 koncerty, 790 słuchaczy	

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

STYL I TREŚĆ

„Naszym celem jest objęcie pełnego wachlarza zagadnień współczesnej areny międzynarodowej dla odtworzenia jej obrazu z polskiej perspektywy. Postawiliśmy sobie za zadanie relację problematyki w jej dynamice ruchu z kontrowersjami najrozmaitszego rodzaju. Mamy zamiar położyć szczególny nacisk na dokumentacyjną stronę materiałów i ich dobór pod kątem raczej długofalowego znaczenia, jakkolwiek nie będziemy unikali meandrów codziennego wykresu światowej polityki, ekonomiki, nauki i techniki".

To wcale nie jest parodia. To autentyczny cytat z pierwszego numeru tygodnika „Forum", z programowego, zasadniczego expose tego pisma. Taki sobie mały (ale programowy!) potworek językowy, świadczący o tym, jak głęboko do słownika publicystów przeniknął duch nowoczesnej, nie liczącej się z możliwościami percepcyjnymi odbiorców, poezji.

Co jest celem nowego tygodnika? Celem tym jest objęcie wachlarza zagadnień areny dla odtworzenia obrazu z perspektywy. Co jest zadaniem? Zadaniem jest relacja problematyki w dynamice ruchu z kontrowersjami. Nie jest zresztą pewne, czy relacja z kontrowersjami, czy dynamika z kontrowersjami, czy ruch z kontrowersjami.

Co jest wreszcie zamiarem pisma? Zamiar pisma polega na tym, aby położyć nacisk na dobór materiałów pod kątem znaczenia długofalowego oraz aby nie unikać meandrów wykresu światowej polityki. Mniejsza o kąt długofalowego znaczenia, ale te meandry! Czysta poezja!

Tak sformułowany cel, zadanie i zamiar nie zobowiązują do niczego a nawet — ośmielam się szepnąć — nic nie znaczą poza tym, że napisanie wstępnego powitania powierzyła redakcja autorowi, który woli raczej meandry niż proste, klarowne myślenie. Szkoda, czytelnicy zostali nieco zwarzeni zapowiedzią, a niedobrze peszyć w samym progu gościa, na którego się liczy.

Słowo jest coraz częściej surowcem, stosowanym najzupełniej niefrasobliwie, surowcem, którego nie trzeba oszczędzać. Przestaje być desygnatem czegokolwiek, stając się wydmuszką mydlaną puszczoną ot tak sobie, żeby nie dopuścić do ciszy. Zaniepokojeni takim stanem rzeczy, zwracamy uwagę na co jaskrawsze przejawy owej niefrasobliwości. Nie byłoby jednak dobrze, gdyby każde słowo przed jego publicznym wygłoszeniem musiało być sprawdzane i uzgadniane z tysiącem czynników wiedzących lepiej o wszystkim. Weźmy dla przykładu publikacje historyczne. Kiedyś mówiono, że prawda jest jedna, ale to chyba nieprawda. A jeśli nawet jest jedna — to próbujemy dotrzeć do niej na tysiąc sposobów, zbliżyć się choćby na milimetr — z tej strony czy tamtej, z tysiąca stron. Każda publikacja historyczna jest więc w pewnej mierze dyskusyjna, co notabene stanowi największy urok w oczach miłośników tego rodzaju lektury. Autor książki jest głosem w dyskusji, niech mówi. Tymczasem znany publicysta — historyk, A. Garlicki, domagał się niedawno w „Kulturze", aby na książkach historycznych umieszczać nazwisko recenzenta wewnętrznego, jako współodpowiedzialnego za merytoryczną słuszność publikacji.

Już widzę skutki takiego rozwiązania: interwencja recenzenta nie ograniczy się — jak dotąd — do dyskusji z autorem, do zwrócenia mu fachowej uwagi i udzielenia pożytecznych rad, recenzent będzie chciał widzieć całość taką, jaką on sam na dany temat by napisał i podpisał. Koszmar. Nic oryginalnego, już by się nie przemknęło, chyba że przez przeoczenie, „nielegalnie". Nie ma nic gorszego nad „uzgadnianie" dzieła, wychodzi z tego kompilacja, wypracowanie na trzy z plusem, gdzie nie wiadomo kto co wymyślił, co jest winą autora, co zasługą recenzenta lub na odwrót. Powtarzanie sprawdzonych, czy też dogmatycznie uznanych za sprawdzone, opinii, akademickich tez, przykrojonych oportunistycznie poglądów dałoby w sumie nudę, zastój, koszmar. Zostawmy recenzenta w cieniu, niech podpisany na okładce dzieła autor odpowiada sam za to, co w dyskusji z redakcją wybronił.

Nawet jeżeli nikt nie jest podpisany — to też nie znaczy, że nikt nie odpowiada. Przyjmujemy wówczas, że cała redakcja odtwarza obraz pod kątem ruchu z kontrowersją i obejmuje cały wachlarz areny.

Cwiek.

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam 1241.V.65. N-11